Nr. 155. Lwów — Wtorek dnia 8 Lipca. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie [illegible]

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi [illegible]

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE [illegible] reklamy dla balów, [illegible] koncertów, opisy składek, [illegible] po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Elżbiety Kr. | Febroni M.
Jutro: św. Cyryla B. | Dawida

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o g. 4 m. 15
Zachód „ „ 7 m. 53

Długość dnia godzin 15 minut 42
Ubyło dnia od wczoraj 1 min.

My a nasi w Poznańskiem.

Mamy dwa nowe a ważne fakty z życia wielkopolskiego: szczerą, rozumną, pełną spokoju i taktu deklaracyę polskich członków sejmu prowincyonalnego, w której oni podają do wiadomości dworu królewskiego, dlaczego nie zbliżą się do króla, gdy on we wrześniu będzie w Poznaniu — i jakby hakatystyczną odpowiedź na ten akt politycznego rozumu: zamknięcie polskich ochronek, w których zacne panie opiekowały się dziatwą, gdy jej ubodzy rodzice szli do warsztatów na codzienny zarobek. Akt ludzkiej godności starł się tu z aktem nienawistnego zaślepienia. Poznańskie społeczeństwo, chociaż niezawodnie boleśnie dotknięte i chociaż mu z pewnością krwawemi łzami napełniły się oczy, ani drgnęło; natomiast u nas znalazły się pisma, które jęły wzywać tamtych naszych braci niemal do buntu. Od pewnego czasu huczy w tych pismach, jakżeby one wzięły w siebie wszystkie rewolucyjne wichry. Zdawać się może, że oprócz takiej zachęty, nic innego Galicya nie jest w stanie ofiarować Wielkopolsce. Tam żelazny spokój i cicha, płodna praca z wytężeniem wszystkich sił, u nas zaś nic, oprócz wrzasku i chęci demonstrowania. Najwięcej zawsze hałasują ci, którzy nie umieją pomódz, ani poradzić.

Od rozbiorów tak się zawsze działo, że któraś jedna dzielnica była albo wybitną przedstawicielką polskiej myśli, albo najbardziej krwawą ofiarą polskiego męczeństwa; któraś jedna zawsze dźwiga krzyż polski, jako znak polskiej sprawy. Teraz do tej roli wezwana jest Wielkopolska i spełnia to powołanie oto już lat trzydzieści, a spełnia je z godnością, szlachetnie, rozumnie, tak, że wszystkim nam brać od niej przykład. Za sprawą Bismarka znaczenie tej dzielnicy dla całej Polski urosło ogromnie, więcej, niż którejkolwiek innej dzielnicy przedtem. Bo tu się toczy walka naszego społeczeństwa z tak świetnie zorganizowaną siłą państwową, jak dotąd nie bywało gdzieindziej, a chodzi naszym o obronę niezmiernie doniosłych spraw i interesów własnych i powszechnych: wolności sumienia, ludzkiej godności, porządku moralnego, prawa przed bezprawiem. Nietylko chodzi o obronę polskości, ale także o obronę tego, co przesadne pojmowanie zadań nowoczesnego państwa chce wydrzeć społeczeństwom. Mała kraina wielkopolska powołana więc została do postawienia czoła zamachom na podstawy społeczne; ma ona wytrzymać niszczącą burzę, podniesioną przez państwowość przeciw społeczeństwom. Zatem to, co się dzieje w Wielkopolsce i jak się dzieje, nie może być obojętne dla nikogo w Europie; zepsute przez nas, będzie i naszą i ludzkości klęską, a wytrzymane przez nas dobrze, stanie się taką samą naszą zasługą, jak niegdyś odpieranie od Europy dziczy tatarskiej, — naszą chwałą i zwycięztwem.

Burza, którą pruska państwowość podniosła w Wielkopolsce, aby w tej krainie zadać cios społeczeństwom, rozpada się na dwie części. Pierwsza już przeminęła, druga — gwałtowniejsza — teraz się sroży. W tej pierwszej, zwanej „kulturkampfem“, Wielkopolanie spełnili do końca swój obowiązek ogromnie świetnie, z wielką godnością, z podziwu godnym spokojem, wytrwale i wytrawnie. Wprawdzie na parlamentarnej arenie posłowie polscy, głównie zaś śp. Niegolewski występował z reguły gwałtownie, często drażniąco, a sekundowało mu w Poznańskiem niejedno pismo w sposób zupełnie warcholski, lecz ogół społeczeństwa zachowywał się poprawnie, nie czyniąc żadnych demonstracyj. Za przykładem centrum, które stało pod buławą Windhorsta, walczono tylko legalnymi środkami. I znany jest rezultat tej pierwszej walki. Oto nastąpiło połączenie wszystkich warstw społecznych, stał się ów cud, którego wyglądał Krasiński, i cud jeszcze większy, bo wytworzyło się narodowe mieszczaństwo, narodowa a wysoka inteligencya — i wszystko to razem wspólnie z niemieckiem centrum było z jednej stali, o którą się wyszczerbił miecz Bismarka, zwycięzki przedtem w trzech wielkich wojnach.

Skończyła się pierwsza wojna. Bismark przegrał, cofnął się, wypoczywał chwilę, potem jął rzucać na nas potwarze i obelgami nas karmić — tem, co jest słabością siły, tem, czem odparty napastnik złość swą wyraża.

Lecz w parę lat potem zmienił szyk swych zastępów, powołał pospolite ruszenie najbardziej poziomych żywiołów w społeczeństwie pruskiem, utworzył z nich hakatę — i znowu w nas uderzył.

Ta druga wojna dotąd się toczy, a jest, jak pierwsza, tak niepomyślna dla krzyżackiego mrowia, że kierownik jego czyni już niemal to, co chłostaniem fal morskich chciał osiągnąć król perski.

Wielkopolanie zachowują się tak samo, jak podczas pierwszej wojny: spokojni są, wytrwali, twardzi jako stal, nieugięci, jak prawość, i pewni zwycięztwa, choć wiedzą, że wojna będzie długa. Rozumieją oni, że jeżeli wywalczą prawa społeczeństw ludzkich, atakowane przez państwowość, zarażoną socyalizmem, to wywalczą polskie prawa. Za nas wszystkich nadstawiają oni piersi.

Lecz ci, którzy sami nie biorą w tej walce udziału i na nic osobiście się nie narażają, poczynają się niecierpliwić i doradzają Wielkopolanom, aby oni opuścili twierdzę ducha, której niepodobna zdobyć, bo na to nie ma oręża, natomiast — żeby zawierzyli swej pięści, chociaż jej nie mają czem opancerzyć i chociaż napewne przegraliby w takiej pięściowej rozprawie.

Możemy być spokojni: Wielkopolanie nie usłuchają tak niemądrej rady. Lecz jakie to smutne, że po tylu latach swobodnego politycznego życia są jeszcze między nami tacy, którzy nie rozumieją ideowego znaczenia walki, toczącej się w Wielkopolsce, i nie pojmują, że użycie pięści byłoby zaparciem się idei, a więc przegraną nietylko polityczną, ale także moralną.

Biały teroryzm we Francyi.

Nowa francuska izba deputowanych coraz widoczniej zmienia się w rewolucyjny konwent, którego zadaniem wytępić katolicką wiarę. Gabinet apostaty Combes bezprawnie zamknął 135 prywatnych szkół średnich, utrzymywanych przez osoby, które w tych szkołach dawały dziatwie wykształcenie, zgodne z duchem wiary chrześcijańskiej. Szkoły te były założone przez obywateli świeckich, a wszyscy nauczyciele i nauczycielki mieli państwowe patenty, dające prawo do wykładania przedmiotów szkolnych. Takich prywatnych zakładów naukowych jest we Francyi mnóstwo i te z nich, które są bezwyznaniowymi, istnieją bez żadnych ze strony rządu przeszkód. Również korzystają z zupełnej wolności szkoły protestanckie i izraelickie, tylko 135 katolickich jednego dnia zamknięto na mocy prostego rozkazu p. Combes.

Oczywiście, ten wypadek zwrócił na siebie uwagę całej Francyi. Deputowany konserwatywny p. Denys Cochin zapytał w izbie ministra, na jakiej podstawie wydano podobne rozporządzenie? Prezes gabinetu odpowiedział, że owe zamknięte szkoły powstały na miejsce tych klasztornych, które zostały zakazane §-em 13 ustawy przeciw zgromadzeniom zakonnym. „Pozbyliśmy się mnichów — rzekł minister — ale ich propaganda została. Nadzór nad owemi szkołami wykonywało duchowieństwo, co też się uwydatniało w całym szkolnym kierunku. Było to więc obchodzeniem ustawy o zgromadzeniach zakonnych, co stwierdziła rada gabinetowa“.

Dalej zaś p. Combes tak mówił:

„Rząd jest zdecydowany złamać wszelki opór katolików i w poczuciu swej odpowiedzialności przed wielką ideą rewolucyi z r. 1789, niczem się nie da odstraszyć. Jest to pierwszy czyn rządu, następne zaś czyny niebawem się okażą. Chcemy, aby nad duchem zakonnym zapanował świecki, wolny od wszelkich nieuzasadnionych pęt, jakie religia nakłada skrzydlatej myśli. Moc, którą posiadamy, chcemy oddać w całości na usługi duchowi protestu w dziedzinie wyznaniowej, aby w walce z dogmatami zwyciężyła swobodna myśl“.

Posłyszawszy te banalne frazesy, cała większość rządowa zerwała się na równe nogi i jęła bić oklaski, a potem 309-ciu głosami przeciw 218 tu uchwaliła ogłosić plakatami mowę pana Combes.

Potem republikanin, kilkakrotny minister Ribot rzekł: „Oczywiście, ustawy obchodzić nie wolno. Dobrze więc się stało, że zamknięto szkoły pozornie świeckie, a w rzeczywistości klasztorne. Lecz czy naprawdę były one w gruncie rzeczy klasztornemi? Nie ma na to dowodów, nie zrobiono żadnego śledztwa. P. Combes postąpił z pewnością według głębokiego przekonania, lecz mógł się omylić. Przytem nawet w państwach despotycznych nie wolno ministrom kierować się w takich sprawach osobistą wolą. Ja tedy proponuję izbie uchwalić, że ilekroć rząd zechce zamknąć prywatną szkołę, musi pierwej wezwać sąd do orzeczenia, czy istnienie jej jest obejściem ustawy“.

P. Combes nie zgodził się na wniosek p. Ribot. Następnie deputowany radykalny Dubief wniósł, aby izba wyraziła gabinetowi zaufanie, i ten wniosek przyjęto. A zatem dla wszystkich we Francyi są ustawy, a dla katolików jest — wola ministra, ale pod warunkiem, że będzie używana wyłącznie na ich niekorzyść. Jest to więc panowanie teroryzmu — w tym wypadku — masońskiego.

Szkoła nauk politycznych we Lwowie.

Podając do wiadomości publicznej program wykładów Szkoły nauk politycznych, uważamy za swój obowiązek wskazać na myśl przewodnią, która spowodowała założenie tej instytucyi i określa wyraźnie kierunek jej przyszłej działalności.

Szkoła nauk politycznych jest towarzystwem, które ułatwiać pragnie swym członkom, jakoteż ogółowi nabywanie wiedzy społeczno-politycznej, zwłaszcza w zakresie stosunków nam najbliższych i dla nas najważniejszych, stosunków polskich. Stosunki te i wynikające z nich zagadnienia własnego życia są u nas o wiele mniej znane, aniżeli tego wymagałaby groza położenia. To też z różnych stron i nie od dzisiaj dawały się słyszeć głosy, że patryotyzm nasz jest zazwyczaj za ,mało realny, a więc bezsilny i jałowy, że zbyt często opiera się tylko na uczuciu, a nie na wszechstronnem, ścisłem i trzeźwem poznaniu społecznej i politycznej treści życia polskiego.

Ale jak stosunki te poznać? W jaki sposób zasilić uczucie licznemi i umiejętnie uzasadnionemi wybrażeniami o naszem istotnem położeniu? Materyały statystyczne i naukowe, dotyczące spraw naszych, rozproszone są przeważnie w wydawnictwach urzędowych, tudzież czasopismach krajowych i zagranicznych, dla ogółu niedostępnych; prac wyczerpujących i systematycznie zaokrąglonych w literaturze naszej brak wielki, w obcych niemal zupełny.

Sądzimy zatem, że Towarzystwo, które zorganizuje we Lwowie, a ewentualnie także na prowincyi, treściwe kursy systematyczne z zakresu najważniejszych nauk społecznych i politycznych, i to w tej myśli, ażeby drogą wykładu umiejętnego ogarnąć przedewszystkiem widnokrąg zjawisk polskich, odpowie potrzebie rzeczywiście istniejącej i dość powszechnie odczuwanej. Stali członkowie, tudzież przygodni słuchacze Szkoły znajdą w kursach naszych bądź gotową a pożądaną dla nich informacyę, bądź też pobudkę i wskazówki do dalszej, samodzielnej pracy, a w każdym razie zachętę do kształtowania sądów o sprawach społecznych i politycznych na szerokiej podstawie cyfr i faktów.

Wykłady Szkoły nauk politycznych będą popularne; ze względu jednak na naturę przedmiotu zwracać się muszą w pierwszym rzędzie do publiczności, która posiada już wykształcenie średnie. — W wyborze prelegentów, tudzież w stosunku do słuchaczy swoich Szkoła nauk politycznych ani nie zamierza, ani nie może być narzędziem poszczególnych stronnictw politycznych. Współudział w kursach przyrzekły nam dotąd liczne siły fachowe Lwowa; od czasu do czasu będziemy także zapraszali wybitnych przedstawicieli nauki polskiej z Krakowa i Warszawy.

Program stałych wykładów Szkoły nauk politycznych obejmuje cztery kursy. Pierwszy da słuchaczom zarys głównych nauk społecznych i politycznych; dwa następne zastosowanie teoryi do materyału zjawisk polskich; czwarty roztrząsa najważniejsze zagadnienia aktualne, których niepodobna pominąć, gdy chodzi o uzyskanie jaśniejszego poglądu na całość naszego życia narodowego. Przez wszystkie cztery kursy biegnie nadto wykład dziejów polskich od połowy wieku 18-go aż do chwili obecnej.

W szczegółach przedstawia się układ czterech kursów w sposób następujący:

Kurs pierwszy. 1. Pojęcie i podział nauk społecznych i politycznych. 2. Zasady socyologii. 3. Zasady ekonomii politycznej. 4. Ogólna nauka o państwie. 5. Teorya badań statystycznych. 6. Dzieje Polski w dobie rozbiorów.

Kurs drugi. 1. Kwestya agrarna z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 2. Polityka przemysłowa i handlowa z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 3. O emigracyi i kolonizacyi z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 4. Kwestya socyalna i socyalizm z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 5. Statystyka ziem polskich. Część pierwsza. Zabór pruski i austryacki. 6. Dzieje Polski w 19 wieku. Część pierwsza. 1795–1831.

Kurs trzeci. 1. Ustrój państwowy Rosyi i prawo administracyjne rosyjskie z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 2. Ustrój państwowy Prus i Austryi z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 3. Finanse Prus, Austryi i Rosyi z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich. 4. Statystyka ziem polskich. Część druga. Zabór rosyjski. 5. Zarys historyi literatury politycznej polskiej. 6. Dzieje Polski w 19 wieku. Część druga. 1831–1863.

Kurs czwarty. 1. Polacy wobec panslawizmu. 2. Kwestya litewska. 3. Kwestya ruska. 4. Kwestya żydowska w ziemiach polskich. 5. Położenie Kościoła katolickiego w ziemiach polskich w 19 wieku. 6. Dzieje Polski w 19 wieku. Część trzecia. 1863–1900.

Każdy kurs trwać będzie od dwu do trzech miesięcy i obejmie od 60ciu do 80ciu godzin wykładowych; co dnia urządzać będziemy o ile możności tylko jeden wykład i to w godzinach wieczornych, ażeby ułatwić słuchaczom korzystanie z kursów. Kurs pierwszy rozpoczynamy w październiku br.; drugi w styczniu 1903; trzeci w październiku 1903; czwarty w styczniu 1904. Po dwu latach, a więc w październiku 1904, powrócimy do kursu pierwszego, zamierzamy bowiem cykl czterech kursów powyższych, w formie stale ulepszanej i uzupełnianej, tudzież z zastrzeżeniem zmian pożądanych, powtarzać tak długo, dokąd odpowiadać będzie potrzebie istniejącej. Wykłady Szkoły Nauk Politycznych są dla członków Towarzystwa bezpłatne — dla nieczłonków kosztuje bilet wstępu na jeden wykład 20 hal., na wszystkie wykłady jednego przedmiotu 1 Kor. Poza organizacyą kursów poświęcimy w miarę wzrostu środków naszych, baczną uwagę urządzeniu biblioteki i pracowni naukowej dla członków i prelegentów Szkoły. Na razie korzystać oni mogą z cennego księgozbioru po śp. Stanisławie Szczepanowskim, którym obdarzyła Towarzystwo p. Helena Szczepanowska. Tymczasowy lokal Szkoły i biblioteki znajduje się przy ul. Trzeciego Maja l. 5, schody II., piętro II. Wpisy na członków Szkoły Nauk Politycznych przyjmuje skarbnik nasz p. Jan Leszczyński (ul. Trzeciego Maja l. 16), tudzież osoby zaopatrzone w odpowiednie listy.

Lwów w lipcu 1902.

Zarząd główny „Towarzystwa Szkoły Nauk politycznych“:

Ludwik Przysiecki przewodniczący, *Dr. Zdzisław Próchnicki* zast. przewod., *Władysław Studnicki* zast. przewod. *Władysław Dunin-Wąsowicz*, sekretarz, *Jan Leszczyński*, skarbnik, *Bolesław Weryha-Darowski*, *Ludwik Kulczycki*, *Prof. dr. Stanisław Głąbiński*, *dr. Zbigniew Pazdro*, *Prof. dr. Kazimierz Twardowski*.

SEJM.

W dalszym ciągu sobotniego posiedzenia przedstawił p. Brykczyński imieniem komisyi gospodarstwa krajowego wnioski w sprawie tępienia pomoru świń i zapobiegania szerzenia się tej zarazy. Wnioski komisyi opiewają jak następuje:

Wzywa się rząd:

a) By wydał zarządzenia przyśpieszające tok urzędowania w sprawie orzekania o wynagrodzeniach należnych za świnie wybite, względnie przez komisye pomorowe na licytacyi sprzedane lub na rzecz Państwa zawłaszczone, umożliwiając ich pełną wypłatę w terminie oznaczonym w § 8-mym cesarskiego rozporządzenia z dnia 2 maja 1899 roku. (Dz. u. kr. nr. 81), a w szczególności by wydał zarządzenie, by na poczet tych wynagrodzeń mogły być wypłacane bezzwłocznie przez przedstawiciela rządu w komisyi pomorowej zaliczki w wysokości trzech czwartych należnego wynagrodzenia; b) zaopatrzył komisye pomorowe w wagi potrzebne do ważenia zwierząt zabitych; c) pomnożył liczbę weterynarzy rządowych odpowiednio do rozległości kraju i liczebnego stanu trzody i bydła, tudzież by zorganizował skuteczną i ścisłą kontrolę nad działaniem i urzędowaniem weterynarzy na prowincyi; d) by dążył do podniesienia stopnia zawodowego wykształcenia weterynarzy szczególnie w dziedzinie bakteryologii przez

---

7)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Olga rozejrzała się wkoło siebie i mimowoli uśmiechnęła się radośnie do tego poranku, do błękitu niebios, do słońca i zieleni lasu.

Jechała dalej; była teraz nad brzegiem dużego stawu, w którym z jednej strony odbijały się wysokie, gładkie pnie buków, z drugiej zarośla sitowia całe od rosy błyszczące; woda wydawała się zarazem świetlana i błękitna i zielona od blasku słońca, od nieba i drzew.

Naraz usłyszała jakieś kroki w gęstwinie; ktoś szedł wązką ścieżką nad stawem, szybko zbliżał się ku niej — i po chwili, z bijącem sercem ujrzała Romana, wychylającego się z po za ściany wysokiego sitowia.

I on przystanął nagle, niespodzianem spotkaniem równie jak ona zmieszany.

Podszedł ku niej; przywitali się napozór swobodnie, lecz obojgu serca biły szalenie i ręce, gdy się spotkały, drżały jak liście.

Zaczęli rozmawiać spokojnie, obojętnie, o rzeczach błahych i banalnych — o pięknym poranku, konnych wycieczkach Olgi, tennisie, lecz ani jedno ani drugie nie myślało wcale o tem, co mówiło.

Po chwili umilkli; Olga jechała stępa, bardzo wolno, on szedł obok konia. Nie mówili nic do siebie, a jednak czuli oboje, że za żadne skarby świata nie byliby teraz w stanie pożegnać się zimnym, grzecznym ukłonem i rozejść się potem, każde w swoją stronę.

Wreszcie Olga odezwała się głosem trochę niepewnym:

— Pan wyjeżdża? Mówiono mi o tem wczoraj w Wierzbowie.

— Tak jest, wyjeżdżam. Zrobię wycieczkę w Tatry i wschodnie Karpaty z jednym z moich kolegów z Monachium. Zapewne wymaluję tam parę obrazków, widoków gór, które mają być przepyszne...

— A... i kiedyż pan jedzie?

— Już jutro wieczór.

— Zapewne z wielką ochotą wybiera się pan w drogę. Taka podróż, to szczególniej dla artysty rozkosz prawdziwa.

— O! rozumie się. Ogromnie też wdzięczny jestem memu koledze, który mi tę myśl podał...

Umilkli znów. Śmiesznością i prawie męką była im rozmowa o rzeczach obojętnych i nie zdołali nawet zwieść się tem wzajemnie.

Wreszcie, po długiej ciszy, Roman podniósł wzrok i utkwił go w twarzy Olgi.

Siedziała na siodle wyprostowana, wyniosła, wspaniała, jak wcielenie bujnej młodości, siły i wdzięku.

Ogniste włosy, trochę rozrzucone szybkim pędem, lśniły się jak roztopione złoto dokoła ślicznej, pełnej wyrazu twarzy, usta rozchylone zdawały się pragnąć pocałunków, a oczy wielkie, szafirowe, patrzyły na niego tak dziwnie, tak jakoś dziwnie.

— Nie jedź pan, nie jedź tam — wyszeptała nagle, nie wiedząc prawie sama co mówi.

— I po cóż, po cóż mi to pani mówi? Po co pani tak ze mną igra? Mnie już i bez tego tak ciężko, tak strasznie ciężko stąd uciekać!

Na to ona, zgrabna jak sarna, w jednej chwili znalazła się na ziemi obok niego i chwytając obie jego ręce, spojrzała mu w oczy wzrokiem gorącym i pieszczotliwym, jak pocałunek.

— Więc dlaczego uciekasz? Powiedz, dla czego?

— Uciekam, bo cię kocham! Olgo! Olgo! miej litość nademną, niedoprowadzaj mnie do szaleństwa!

— Kochasz mnie? Kochasz? Więc powiedziałeś mi to nareszcie? Ty nie odjedziesz, ja cię nie puszczę, boś ty mój, mój jedyny, najdroższy!

I w jednej chwili usta ich spragnione połączyły się w długiej, gorącej, pełnej zachwytu pieszczocie i świat cały zniknął im z przed oczu wobec rozkoszy tej wielkiej miłości.

— Mój ty złoty! Mój najmilszy! Powiedz, czemu się tak męczyliśmy, kiedyśmy się już tak dawno kochali?

— Ja nie mogłem uwierzyć, żebyś ty mnie naprawdę kochała. Myślałem, że się tylko bawisz... żebyś ty wiedziała, com ja się nacierpiał!

— Jakżeś mógł tak myśleć o mnie! Ty szkaradniku... ty! Poczekaj! Odpłacę ci jeszcze gorzko za to!

Roześmiała się swawolnie i wytargała go za gęstą ciemną czuprynę.

Szli teraz obok siebie; on objął ją wpół, ona jedną rękę opartą miała na jego ramieniu, drugą prowadziła za uzdę wolno postępującego za nimi konia.

Nad ich głowami chwiały się rozłożyste konary starych buków, i cichy wiatr szumiał wśród liści; żaden głos ludzki, żaden oddźwięk codziennego życia nie mącił im tej wielkiej, uroczystej, radosnej ciszy — sami byli, sami we dwoje, wobec jasnego poranka, wobec blasku słońca i szumu drzew, sami ze szczęściem i miłością swoją.

W tej chwili, świat nie istniał dla nich wcale. Dla niego istniała tylko ona, dla niej on jedynie. Niezmierna, świąteczna cisza lasu i uczucie szczęścia bez granic porywało dusze ich i wznosiło tam wysoko ku niebu, z radością i wdzięcznością tak wielką...

— Ty nie odjedziesz już wcale, prawda? — pytała Olga, patrząc mu w oczy z prześlicznym uśmiechem.—Zostaniesz już tutaj do jesieni, a we wrześniu lub październiku weźmiemy ślub tu w Sławicach, cicho, cichuteńko, bez żadnych głośnych uroczystości, bez żadnych obcych świadków, a potem pojedziemy sobie gdzieś w świat, daleko, tak żeby nikt, nikt nie wiedział nawet, gdzie jesteśmy, żeby nikt nie przeszkadzał nam być samym we dwoje, żyć dla siebie i kochać się!

— Jakie z ciebie jeszcze dziecko, moja Olgo, moja najdroższa! Patrzysz na życie zupełnie tak, jakby ono było czarodziejską jakąś bajką. I wreszcie nic w tem dziwnego od samego dzieciństwa znałaś tylko jasne i wesołe jego strony, jak prawdziwa królewna z bajki. Lecz ze mną inaczej było. Ja biedny jestem, Olgo, biedny jak mysz kościelna, nie mam nic, prócz mego talentu, i dobrze jeszcze pracować muszę, zanim mi on da sposób do życia. Nie tak prędko więc jeszcze polecimy we dwoje gdzieś w świat, aby ukryć tam przed ludźmi nasze kochanie i szczęście.

Wzrok Olgi zasępił się nagle.

— Śmieszny jesteś mój drogi. Cóż to szkodzi, że zawód, który obrałeś, nie odrazu da ci sposób do życia? Ja przecież jestem bogata, a co moje, to i twoje, mój złoty, nic więc nie przeszkadza nam pobrać się zaraz, choćby za kilka tygodni.

— Nie, Olgo. Tyś przecież powinna zrozumieć, że z twej łaski i z twego majątku żyć nie chcę; przyjdę więc do ciebie i zabiorę jak swoją dopiero wtedy, kiedy już sam będę zarabiał tyle, aby przynajmniej dla siebie mieć przyzwoite utrzymanie.

Pochyliła się ku niemu i zajrzała w oczy wzrokiem pełnym pokus i wdzięku.

— Dziwak jesteś. Cóż znaczą wszystkie teorye wobec miłości? Pocóż dobrowolnie opóźniać nasze szczęście?

On objął rękami jej złotą głowę i gorąco ucałował śliczne, pełne usta, czerwone, jak jagody.

— To nie żadne teorye, Olgo, żadne puste frazesy! To tylko osobista duma i godność moja, której nie poświęciłbym dla nikogo w świecie, nawet dla ciebie, choć cię kocham całą duszą, ty moja, ty najmilsza dziewczyno.

Nie odzywała się już więcej.

Czuła, że pierwszy raz w życiu napotkała na siłę woli i stanowczość, której nie złamie nawet jej energia.

Pomyślała tylko, że co nie da się zrobić odrazu, tego dokona powoli sama miłość i z czasem zwycięży upór i przesądy tego nieznośnego, a tak kochanego Romana, który ubóstwiał ją, a jednak uledz nie chciał.

Nie poruszała więc już dłużej drażliwego tego przedmiotu, tylko poddała się cała bezmiernemu uczuciu szczęścia, które jej serce przepełniało i szła tak dalej obok niego przez las rozkołysany wiatrem, rozśpiewany od pieśni ptaków — milcząca, bo znaleźć już nie mogła słów na wyrażenie mu, jak bardzo go kocha, a szczęśliwa, jak nigdy jeszcze nie była w życiu.

Było już koło południa, gdy pani Kamilla Sławska po długiem wahaniu się wstawszy wreszcie z łóżka, zdecydowała się zarzucić na siebie liliowy, jedwabny szlafroczek i aksamitne pantofle i nawpół leżąc w głębokim fotelu, namyślała się leniwie, czyby już nie trzeba na dobre się ubierać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

hojniejsze wyposażenie Akademii weterynaryi we Lwowie, oraz Instytutu bakteryologicznego w Krakowie; e) zalecił ścisłe przestrzeganie przepisów o przeprowadzeniu dezynfekcyi w zagrodach zapowietrzonych pomorem; f) przy ogłaszaniu miejscowości za zamknięte z powodu stwierdzenia pomoru przestrzegał ścisle zasady zamykania tylko terytoryów, które koniecznie muszą być zamknięte bez względu na ich granice katastralne i przestrzegania zamknięcia ściśle dopilnował; g) przeprowadził reformę przepisów paszportowych dla świń, w tym kierunku, iżby świnie były znaczone, a znak pozwalał stwierdzić miejscowość i powiat, z których świnia pochodzi i by w pasporcie znak ten był uwidoczniony; h) zarządził na czas trwania akcyi tępienia pomoru ograniczenie swobody domokrążnego zakupowania świń.

W dyskusyi nad tą sprawą zabierali głos pp. Stapiński, X. Stojałowski, Huryk, Szajer, członek Wydziału krajowego dr. Pilat i komisarz rządowy hr. Łoś. X. Stojałowski krytykował postępowanie weterynarzy i zarzucił im, że nie rozumieją się dobrze na chorobach nierogacizny i każą nieraz wybijać zdrowe sztuki, przez co wyrządzają włościanom ogromne szkody. P. Stapiński zaś zarzucił, że wogóle ustawa o tępieniu pomoru świń i zarządzenia dotyczące tej sprawy, bywają tak wykonywane, iż zamiast przyczynić się do podniesienia hodowli nierogacizny, sprowadzają jej upadek. Wypłata odszkodowania za wybitą nierogaciznę przewleka się z winy organów rządowych w nieskończoność i np. gospodarze w powiecie zbaraskim do tej pory nie otrzymali należytości za świnie wybite jeszcze przed dziewięciu miesiącami. P. Huryk również skarżył się na weterynarzy i rzekł, że w niektórych powiatach nie istnieje wcale pomór, a mimo to świnie wybijają, gdyż spekulanci wywołują tam nieistniejące wcale pomory.

W głosowaniu przyjęto wnioski komisyi z wyjątkiem punktów g) i h), które w myśl życzenia X. Stojałowskiego odesłano do komisyi celem dokładniejszego ich zbadania.

Z kolei dr. Skałkowski imieniem komisyi budżetowej przedstawił wniosek o uchwalenie kredytu 30.000 koron na uzupełnienie w gmachu sejmowym urządzeń maszynowych, wytwarzających światło elektryczne. P. Michalski wniósł o odesłanie tej sprawy napowrót do komisyi, tego samego żądał także p. Dzieślewski, gdyż jego zdaniem może będzie korzystniej i taniej połączyć gmach sejmowy z miejskim zakładem elektrycznym, aniżeli rozszerzać własne urządzenia. W głosowaniu nad tą sprawą okazał się brak kompletu, wobec czego marszałek zamknął posiedzenie i naznaczył następne na wtorek, godzinę 10 rano.

* * *

Z komisyi sejmowych.

Komisya budżetowa w ostatecznem zestawieniu budżetu na rok bieżący oznaczyła wydatki funduszu krajowego na 22.913.884 koron, zaś dochody własne tego funduszu na 8,852.008 koron, pozostaje tedy do pokrycia dodatkami do podatków suma 14,061.876 koron. Komisya proponuje ustanowić wysokość dodatku krajowego dla Krakowa i powiatów krakowskiego i chrzanowskiego na 49% przy podatku gruntowym i domowym, a na 55% przy podatkach osobistych, zaś w reszcie kraju na 60% przy podatkach gruntowym i domowym, a 66% przy podatkach osobistych. Ponieważ wydatność jednego halerza dodatku krajowego przyjmuje komisya na 239.000 koron, przeto ogólny dochód z dodatków krajowych wyniesie 13.964.338 koron, pozostaje zatem rachunkowo niepokryty niedobór w sumie 97.538 koron. Niedobór ten jednak, zdaniem komisyi, znajdzie dostateczne pokrycie w wyższym udziale kraju w dochodach z państwowego podatku osobisto-dochodowego.

Komisya szkolna odrzuciła 8 głosami przeciw 4 wniosek Wydziału krajowego o wezwanie rządu do założenia gimnazyum ruskiego w Stanisławowie, natomiast przyjęła wniosek p. Władysława Leopolda Jaworskiego, polecający Wydziałowi krajowemu, aby ponowił wniosek o założenie ruskiego gimnazyum w Stanisławowie wtedy, gdy wykazana zostanie dostateczna liczba ruskich ukwalifikowanych sił nauczycielskich. Za wnioskiem Wydziału krajowego głosowali w komisyi pp. X. metropolita Szeptycki, Barwiński, Kramarczyk i Rotter.

Następnie uchwaliła komisya wniosek p. Tadeusza Cieńskiego, domagający się zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka polskiego i ruskiego we wszystkich szkołach średnich w Galicyi.

Komisya administracyjna uchwaliła na wniosek p. Trzecieskiego wezwać rząd do uregulowania sprawy przymusowej asekuracyi, a na wniosek p. Maissa uchwaliła wezwać rząd do subwencyonowania powstać mających domów przymusowej pracy. Wniosek p. Żardeckiego o wydanie nowej ustawy łowieckiej wraz z gotowym projektem tej ustawy przekazała komisya administracyjna Wydziałowi krajowemu do zbadania.

Co i o czem piszą.

Jeden z dziennikarzy udał się do Klęki, majątku Kenemanna, wodza hakatystów poznańskich i opisuje to co tam widział w następujący sposób w *Kuryerze poznańskim*:

Na wysokiej płaszczyźnie, w oddaleniu dwóch kilometrów od Nowego miasta, nad Wartą, widnieje ponad gąszczami drzew rozłożystych, na stropie obszernego pałacu ucięta wieżyca, niby klatka oszklona, czy też gołębnik... tuż obok sterczy wysoki komin gorzelni. Oto Klęka, siedziba Konemanna, przywódcy hakatystów!

Przed kilkudziesięciu laty ojciec starego dziś już Kenemanna przybył jako niezamożny piwowar na polską ziemię. W Nowem mieście warzył piwo i dorabiał się mienia na polskim ludzie. Po pewnym jednakże czasie nabył już ów przybysz rozległe, ale zaniedbane starostwo nowomiejskie od żyda za kilka tysięcy talarów, wedle pojęć dzisiejszych za bajecznie niską cenę. Nowy właściciel starostwa, jak i później syn jego, żyjący obecnie Kenemann w Klęce, nie mieli wielkiego powodzenia w gospodarstwie. Już się zachwiał dzisiejszy filar niemczyzny i był bliskim upadku. W uznaniu pracy jednakże dopomógł mu baron Stiegler z Sobótki na owe czasy wysoką pożyczką 10.000 talarów *à fonds perdus*. Energicznie zabrał się młody jeszcze wówczas Kenemann do pracy, zakładał gorzelnie, ulepszał gospodarstwo, rósł w mienie, wykupował ziemię sąsiadów, a zwłaszcza chłopów, aż się stał tem, czem jest dziś: panem rozległych włości.

Tak sobie rozważając przeszłość i porównywując ją z chwilą obecną, szedłem nieco zadumany żwirówką prowadzącą do Klęki. W tem przebudził mnie głos dziecięcy: *gunta*! Miało to znaczyć *guten Tag*, czyli dzień dobry. Po wymowie, jak i po twarzy chłopczyka, poznałem jednak, że to przecież polskie dziecko.

Pytam się więc malca: Jak się nazywasz, chłopczyku?

— Albert Józefiak — brzmiała nieco nieśmiała odpowiedź.

— To zapewne matka woła na ciebie: Wojtek?

— Nie, ja się nazywam Albert i mój ojciec także Albert. Mój ojciec był dawniej Polakiem, ale teraz jest Niemcem — objaśnił mnie chłopak, jakby go ktoś tego na pamięć nauczył.

— Jak na imię twoim braciom i siostrom? — badam go dalej.

— Mam tylko dwie siostry: Paulinę i Bertę.

W dalszym ciągu rozmowy dowiedziałem się od mego małego towarzysza podróży, że matce imię Elizabet, w domu rozmawiają tylko po niemiecku, on i siostry jego chodzą do szkoły protestanckiej w Nowem mieście i że ojciec ich jest gajowym w Lindenhofie na służbie u Kenemanna.

Pierwsze to spotkanie z dzieckiem robotnika, zatrudnionego u Kenemanna, zaciekawiło mię nadzwyczaj. Albert Józefiak, niemiec-protestant na służbie u Kenemanna! Przecież dziecko, które poznawałem, jest polskie i ma także polskie nazwisko Józefiak, a jednak twierdzi, że jest Niemcem...

Doszliśmy wspólnie do szałasu dzierżawcy alei owocowej i tam, kupiwszy małemu „Albertowi" garść czereśni, zapuściłem się z sadowym w rozmowę.

— Powiedzcie mi, mój przyjacielu, cóż to znaczy, że ów chłopiec ma polskie nazwisko, mówi dobrze po polsku, a jednak twierdzi, że jest Niemcem i jak mi powiadał, chodzi do szkoły protestanckiej?

— Proszę pana — odpowiada rozmowny dzierżawca alei owocowej — tu u pana Kenemanna są wszyscy urzędnicy, gajowi, oberżyści i rzemieślnicy — sami Niemcy, chociaż który Niemcem nie był, to dla zarobku nim został. Polaków jest tylko niewielu, włodarzy i owczarzy, lecz także wielu już jest Niemców. Tylko robotnicy są polscy; tych on więcej lubi, aniżeli Niemców, bo polskie chłopy pracują dobrze i tanio

— Aha, na tym punkcie patryotyzm pana Kenemanna nie jest drażliwy. Do ciężkiej pracy posługuje się Polakami, a zarząd ma niemiecki?

Nagle zaturkotał lekki wózek na skręcie polnej drogi ku żwirówce. Dwa rosłe konie ciągnęły wolnym krokiem wózek, do którego był przytroczony trzeci koń osiodłany. Na wózku siedział barczysty człowiek o czerstwej i rumianej twarzy bez zarostu. Na głowie miał wielki, okrągły kapelusz, z pod którego spadały długie, siwe włosy.

— To Kenemann — szepnął mi sadowy i niebawem pokłonił się milcząco nadjeżdżającemu.

— *Namt* — odcedził Niemiec, nie spoglądając wcale na tego, który mu się kłaniał.

Udałem się do wsi. W środku między czworakami z palonej cegły, znajduje się w poprzek do żwirówki nieco zagłębiona droga wiejska, nad którą stoją w części opróżnione zabudowania chłopskie, wylepione gliną i pokryte słomą. To są wykupione gospodarstwa po chłopach polskich; w domach mieszkalnych pozostali tylko chałupnicy na wymiarze.

Tak więc przyszło pod rządem hakatysty: niezależnych chłopów wykupił, a na miejsce ich sprowadził czeladź; z osiadłych na skibie rodzinnej zrobił wyrobników.

Nauczyciele z całej okolicy pobieraja remuneracye „za skuteczne nauczanie niemieckiego języka", są Niemcami, chociaż niektórzy mają nazwiska polskie. W Chociczy, wsi należącej także do Kenemanna, czytałem na drzwiach mieszkania nauczyciela: „Theodor Domansky Lehrer". W domach nauczyciele wszyscy mówią tylko po niemiecku, dzieci swoje po niemiecku wychowują, niejeden pomimo swego polskiego pochodzenia—i rozkazują dzieciom szkolnym, ażeby poza szkołą rozmawiały tylko po niemiecku.

Zauważyłem, że tylko dzieci mniejsze pozdrawiały mnie *gunta* i wcale nie szylerowskim *morgyn*. Zapytałem się więc pewne, starsze już, dziewczę szkolne:

— Dlaczego nie mówisz *morgyn*?

— Ja tam wcale nie mówię, bo pochwalić Pana Boga nauczyciele nie każą, a po niemiecku ja mówić nie chcę.

— Umiesz ty też po polsku czytać?

— Jakżebym nie miała umieć, przecież się uczę w domu katechizmu.

Słyszała naszą rozmowę matka dziewczyny i odpędzając wieprzaka od gromadki bawiących się małych w piasku, mówiła do mnie przez drogę:

— A jakże, przecież czytać umie i uczy na „lamentorzu" inne dzieci.

— Nie obawiacie się Kenemanna — zapytałem, zaciekawiony tym objawem poczucia polskiego.

— Inne dzieci też tak robią i ludzie gazety z Poznania czytają, przeciek nas wszystkich nie odpędzi.

Miała kobieta racyę, bo p. Kenemann robotników potrzebuje i z pewnością nie wypędzi Polaków, chociaż czytają polskie książki i gazety.

Powinniby Polacy nieraz więcej pamiętać, że Niemiec się bez nich obyć nie może. Mieliby wtedy może trochę więcej narodowej samowiedzy.

Azyaci w Londynie.

Londyn, jako stolica państwa, mającego posiadłości we wszystkich pięciu częściach świata, jest też w niektórych swych dzielnicach miastem najbardziej może ze wszystkich egzotycznem. Zwłaszcza tak zwane „Eeast End", dzielnica doków, stanowi siedlisko przeróżnych cudzoziemców głównie synów Wschodu. Bladożółty Chińczyk z Pekinu ze swym długim, splecionym warkoczem, spadającym mu na plecy, ze swem na wietrze powiewającem bufiastem odzieniem i grubem filcowem obuwiem i jego rodak z Kantonu lub Hong-Kongu, przybrany w kaftan majtkowski z rozczesanemi już po europejsku włosami i z rosyjską czapką na głowie; hindus w czerwonym turbanie, a na jego bronzowych, nagich piersiach, migocą porozwieszane rozmaite błyszczące azyatyckie i europejskie fatałaszki i dyndelasiki; kulturą zachodnią już nieco przesiąknięty Japończyk, sprzymierzeniec brytański najświeższej daty, zawsze wesoło uśmiechnięty Malajczyk ze swemi grubemi, krwawo czerwonemi wargami; dalej Arab w białej beduinie i tegoż koloru turbanie na głowie; sprężysty, przytem rezolutny Zanzibaryjczyk; Syngalez, którego postać okrywa długi płaszcz, a pomimo to w słońcu angielskiego lata, trzęsie się od zimna; oto kilku z przedstawicieli mieszkańców, którzy zaludniają wąskie uliczki przy groblach i dokach nad rzeką Tamizą. Największa część tych mieszkańców z dalekiego Wschodu, zatrudniona przeważnie na okrętach jako majtkowie, posługacze itp., bawi peryodycznie li tylko krótki czas w stolicy angielskiej. Często bardzo tylko trzy lub cztery dni, czasem tydzień, najdłużej dwa, zwykle tak długo póki moneta starczy. Lokują się oni przeważnie po prywatnych gospodach lub oberżach, które każda rasa, każda sekta, każdy odłam i szczep posiada z osobna. Tak np. muzułmanin nie zasiadłby z Hindusem do jednego stołu, chociaż obydwóch główną czasem nawet i wyłączną potrawę stanowi ryż itp. Urządzenie tych mieszkań jest nader prymitywne i skromne, w wielu wypadkach znajdują się w nich oprócz najniezbędniejszych sprzętów, tylko łóżka i materace. Pościel i poduszki (raczej klęczniki), na których przyzwyczajeni są odprawiać swe modły, ludzie ci wożą zazwyczaj ze sobą. Często bardzo dwóch lub trzech sypia w jednem łóżku, a mała izdebka mieści co najmniej dwa łóżka, tak, że nieraz sześciu i więcej nawet, dzieli się jednym apartamentem.

Znacznie lepiej urządzone są tak zwane „Stranger's Homes" (domy dla cudzoziemców). Te nie służą wyłącznie jednemu tylko szczepowi, lecz goszczą pod swym dachem wszystkie niemal odłamy ludności krajów wschodnich bez różnicy ras, wyznania, kast, sekt lub wiary. Dom taki składa się oprócz z izb sypialnych, z sal towarzyskich, czytelni, fumuaru, sal jadalnych i kilku kuchni, w których każdy lokator może do woli przyrządzać, gotować i jeść potrawy według rytuału, jaki odnośnie do wyznania swego, sumienie nakazuje mu obserwować.

Największy stały kontyngens synów Azyi dostarczają dla kolonii oryentalnej Chiny. To też handel w tej oto dzielnicy utrzymują przeważnie Chińczycy. Sklepik obok sklepiku mieści się po tych uliczkach z oznakami i napisami chińskiemi, nad którymi paradują nazwiska właścicieli jak Shing, Czang, Kung i inne tego rodzaju, ng'i, ang'i i ung'i. W sklepikach tych wszystkiego się dostaje, co chińskie i azyatyckie, jak specyały, delikatesy, ostre i palące korzenie, rozmaite gatunki i rodzaje pieprzu, paprykę, imbir, różne chemikalia i lekarstwa itp. Naturalnie, nie zbywa nigdzie i nigdy na niezbędnem opium, oraz na odnośnych preparatach i pigułkach.

Przeważna część osiedlonych Chińczyków włada dostatecznie językiem angielskim, aby się w nim porozumieć. Ci w najliczniejszych przypadkach zawarli związki małżeńskie z Angielkami i obie strony czują się zazwyczaj szczęśliwemi. Potomstwo ich jest czerstwe i zdrowe, czyściutko i dobrze odziane, zgrabne i ładne. Ciemno-włose, czarno-okie chłopczyki i dziewczynki, z rumianemi policzkami i radosnemi, wesołemi minkami, to często istne obrazki piękności.

Miejscem zbiorowem kolonii chińskiej jest ich dom misyjny, położony nieopodal doków i pozostający pod dozorem zacnego misyonarza, który spędził więcej niż trzydzieści lat w Chinach i przeto dostatecznie obeznany z ludem, jego zwyczajami i obyczajami. To też cieszy się ogólnem zaufaniem wszystkich członków kolonii, którzy widzą w nim ojca, przyjaciela, opiekuna i doradcę w każdem znaczeniu tego słowa, a zatem chętnie słuchają jego rad i wskazówek. Nawet i w kwestyach spornych, w jakie popadają między sobą, wolą się raczej zdawać na jego sądy i „wyroki", aniżeli zanosić skargi do rządowych sądów angielskich, których Chińczyk się boi i unika, jak dyabeł wody święconej.

Za najwybitniejszą osobę stolicy Anglii uchodzi w oczach Chińczyka tutejszego ambasador i minister jego kraju przy dworze królewskim. To, co stanowi dla Pekinu „miasto zakazane", w tej samej mierze, z taką samą czcią i szacunkiem uważają tutejsi Chińczycy jako święte miejsce swój pałac ambasady w „West End'zie" Londynu, z którego powiewa ich flaga narodowa, symbol smoka na tle żółtem.

Chociaż Chińczycy w tej dzielnicy mają przewagę w handlu, to jednakowoż nie brak również i sklepów i składów, utrzymywanych przez innych jeszcze przedstawicieli Oryentu. Zwłaszcza kramów galanteryjnych i z tanią biżuteryą można tam naliczyć sporo. W rozmaitych świecidełkach, amuletach, różnobarwnych kamyczkach i kamieniach, koralach itd. dzieci Wschodu nadzwyczaj się lubują. To też szyję, piersi, ramię, ręce obwiązują takiemi oto błyskotkami, które podług zabobonów i przesądów, jakim hołduje największa część ludu tego, strzedz i chronić ich mają przed chorobami, zarazami, cholerą, dżumą, przed nieszczęściami w podróżach morskich i innych tego rodzaju wypadkach.

Często bardzo spotyka się po tych uliczkach składy o mistyczno-tajemniczym zewnętrznym wyglądzie, których okna zamiast jakiejś wystawy, zaciągnięte są tylko brudnemi, żółtawemi firankami. Do składów tych wsuwają się od czasu do czasu jacyś synowie Azyi i przepadają w nich na kilka godzin. Są to fumuary na opium. W pierwszym pokoju niema nic podejrzanego. Stół składowy, na nim mała waga, kilka cygar, papierosów, trochę tytoniu i tabaki i inne drobnostki. Ze składzikiem graniczy nieduży, ociemniony pokoik, przedzielony od niego żółtą, zazwyczaj wypłowiałą portyerą. Na podłodze widać w chaotycznym nieładzie porozkładane kobierce, otomany, niskie drewniane krzesełka, ławeczki, kanapki, na nich materacyki i poduszki. Jest to owe „sanatorium", w którem opium i tak zwany „majoon" (mieszanina z konopi i opium), często bardzo i „haszysz", palą, jedzą i żują. Skutki nadużycia „haszyszu" są nader szkodliwe dla amatora i często bardzo nawet niebezpieczne dla jego otoczenia. Wpada on w jakiś dziwny stan wściekłości, oczy zachodzą mu krwią, a w halucynacyi rzuca się na każdego (często z nożem), kto tylko wchodzi mu w drogę. To też najczęściej w stanie takiego obłędu bywa odosobniony i zamknięty tak długo, dopóki atak nie minie i głowa zupełnie mu nie wyszumi.

Oprócz wyżej określonych przedstawicieli szczepów wschodnich, można się często bardzo spotkać z rozmaitymi innymi typami Oryentu. A więc z Turkiem z Konstantynopola, bez żadnego sklepu, kramu i składu, często bardzo nawet bez żadnego adresu. Chodzi on od domu do domu i prowadzi korzystny interes w starożytnych koronkach i haftach; Syryjczyk sprzedaje piękne lalki, przyodziane w rozmaite wykwintne stroje narodowe; gładki i przebiegły kupiec z Jerozolimy, zaleca kunsztowne dywany i kobierce itd. Wszyscy ci mają stałych swych odbiorców, którzy rzadko kiedy ich zawodzą. Wymienić jeszcze wypada zręcznego Japończyka, który za dobrą opłatą punktuje skórę lubownika takich upiększeń, dalej owych przeróżnych akrobatów, żonglerów i innych artystów z każdego niemal kraju bliskiego i dalekiego Wschodu, a kalejdoskopowy wygląd tej dzielnicy staje się poniekąd kompletnym.

Promocya doktorów rerum technicarum.

W sobotę odbyła się w auli Politechniki pierwsza u nas promocya doktorów nauk technicznych. Obchodu tego dokonano bardzo uroczyście wobec nader licznego i dostojnego audytoryum; przybyli najwyżsi dygnitarze kościelni, rządowi i autonomiczni, rektorowie obu uniwersytetów krajowych, urzędnicy Wydziału krajowego — albowiem z ich to właśnie grona wyszli obaj pierwsi doktorowie techniczni — wszyscy profesorowie Politechniki, liczny bardzo zastęp akademików i tłum publiczności.

Pierwszy zabrał głos rektor Szkoły politechnicznej prof. Dzieślewski. Wskazał na to, że doktorat techniczny, uzyskany po długoletnich zabiegach, czynionych przez sfery techniczne, jest symbolem równorzędności nauk i studyów technicznych z uniwersyteckiemi. Przez długi czas spoglądano na umiejętności techniczne jako na rzecz niższą, wprawdzie praktycznie bardzo pożyteczną, ale pod względem poziomu intelektualnego nie mogącą się równać z czterema fakultetami, jakieśmy odziedziczyli od wieków średnich. Dzisiejszy rozwój tych nauk uniemożebnia dalsze trzymanie się takiego poglądu, i dlatego dzieje się sprawiedliwość technikom, jeżeli umożliwia się im uzyskanie najwyższego stopnia akademickiego. Dlatego też słusznie się stało, że dano szkołom politechnicznym prawo udzielania tytułu „doktora", a nie jedynie tytułu „inżyniera", gdyż doktorat jest godnością ściśle akademicką, tytuł zaś inżyniera oznacza stanowisko zawodowe i nie może zastąpić doktoratu.

W końcu rektor wyraził nadzieję, że tytuł doktorski zachęci świat techniczny do tem gorliwszej pracy, aby się stał godnym tego najwyższego stopnia akademickiego.

Z kolei przemówił p. namiestnik. Wyraził radość, że zabiegi techników o tytuł doktorski uzyskały pomyślny rezultat; należy im się najwyższe odznaczenie, albowiem przyczyniają się oni w olbrzymiej mierze do rozwoju kultury. O nich w pierwszej linii można powiedzieć, że potrafili ruszyć „z posad bryłę świata i nowymi pchnąć ją tory." Tytuł doktora dawniej nadawał pewne przywileje; dzisiaj znaczenie jego jest przeważnie moralne; daje on prawo do przewodniczenia narodowi w pracy cywilizacyjnej.

Następnie dziekan prof. Kempiński przedstawił zebranym obu doktorandów, skreślił przebieg ich życia i omówił dotychczasową ich działalność. Są to inżynierowie Wydziału krajowego p. Jan Blauth, docent szkoły politechnicznej i p. Michał Kornella. Obaj pracują w dziedzinie robót melioracyjnych i wodnych. Wśród hucznych oklasków promotor senior profesorów Politechniki prof. Julian Niedźwiecki wręczył im dyplomy i odebrał od nich ślubowanie.

P. dr. Blauth w swojem i swego kolegi imieniu podziękował w krótkich słowach, poczem zabrał głos marszałek krajowy hr. Potocki i wyraził radość, że pierwsi doktorowie techniczni są urzędnikami Wydziału krajowego. Kraj na nich liczy i pracy ich potrzebuje. Niech to nowe odznaczenie będzie dla nich bodźcem do dalszej obywatelskiej działalności.

Na tem uroczystość się skończyła.

Na dachu techniki, podczas uroczystości, wywieszono trzy chorągwie, na środku państwową, a po bokach czerwono-niebieską (galicyjską) i niebiesko-żółtą (ruską). Skoro młodzież dojrzała to rozmieszczenie kolorów, zaczęła protestować. Aby zapobiedz grożącej awanturze, woźny politechniki zdjął chorągiew czerwono-niebieską, a na jej miejsce wywiesił biało-czerwoną.

Mały fejleton.

Świnia i jabłoń.

Chciało się świni jabłek, które na jabłoni
Wisiały takie duże, że nie objąć w dłoni.
Ale daremnie ku nim wytęża swe oko.
Same jakoś spaść nie chcą, a zerwać — wysoko.
Świnia jednak nie łatwo daje za wygraną:
„Poczekajcie jabłuszka, już ja was dostanę!"
I wnet zacznie pod drzewem ryć zniszczenia dzieło,
I póty pod niem ryje, aż drzewo runęło..
Najadła się do syta! — A cóż ją obchodzi,
Że jabłoń już w przyszłości owoców nie zrodzi.

Władysław Bełza.

KRONIKA.

Lwów 7 lipca.

Wręczenie daru honorowego dla b. Marszałka krajowego Stanisława hr. Badeniego.

W sali Unii Lubelskiej, w gmachu sejmowym odbyło się w sobotę po południu uroczyste wręczenie przez marszałków powiatowych honorowego daru b. Marszałkowi krajowemu Stanisławowi hr. Badeniemu.

Gdy do sali, w której zgromadziło się już przedtem kilkudziesięciu marszałków powiatowych, wszedł Stanisław hr. Badeni, przemówił do niego najpierw marszałek krajowy hr. Andrzej Potocki mniej więcej w te słowa:

Ekscelencyo! Reprezentanci powiatowi wszystkich okolic, prezesowie Rad powiatowych, zgromadzili się dziś tutaj, by ponownie wyrazić Ci żal, żeś ustąpił z tak godnie reprezentowanego przez siebie stanowiska Marszałka krajowego. Przy tej sposobności chcą wręczyć Ci pamiątkowy dar i proszą Cię, byś z równie życzliwem sercem tak go przyjął, jak ci go oni ofiarowują. Niech to zebranie będzie Ci dowodem, że praca Twoja została należycie uznaną i że przyniosła dla kraju prawdziwy pożytek. Na pożyteczność Twego działania składała się niezmordowana praca, Twój takt i znajomość wszystkich stosunków krajowych. Najlepszym tego dowodem jest, że zgromadzili się dzisiaj reprezentanci tak Wschodu, jak i Zachodu, jednem słowem przedstawiciele całego kraju, poruszani tą samą myślą wyrażenia Ci uznania i podzięki. Wiemy, że ustępując ze stanowiska Marszałka krajowego, nie opuściłeś pracy w życiu publicznem, wiemy, że dla dobra kraju chcesz i nadal pracować a odpowiem przekonaniu wszystkich obecnych, jeżeli zakończę życzeniem, odnoszącem się tak do dobra kraju, jak i do dobra nas wszystkich, jeżeli zakończę życzeniem: „Stanisław hr. Badeni niech żyje!"

Zgromadzeni powtórzyli okrzyk „niech ży[je]".

Następnie zabrał głos do głębi wzruszon[y] marszałek kraju hr. Stanisław Badeni i rzekł m[niej] więcej w te słowa:

Dzięki Ci kochany Marszałku za słowa ł[a]skawe i życzliwe, wypowiedziane do mnie, a Wa[m] Panowie za wspaniały dar i łaskawe uznanie [z] całego serca dziękuję. Wiem, że to uznanie, jak to już przy innej sposobności powiedziałem, zawdzięczam inicyatywie grona osobistych, długoletnich przyjaciół, jak i tej wspólnej nam wszystkim polskiej naturze, która zwykła uznanie i naganę po gospodarsku, czasem zbyt wielką miarą mierzyć. Kiedy opuściłem krzesło marszałkowskie, słyszałem i czytałem odpowiedzi na pytanie, jakie zajmę stanowisko w kraju i Sejmie. Odpowiedź była zwykle, że mam zamiar stanąć na czele opozycyi. Miałem nadzieję, że od tej przepowiedni uwolnić mię powinna ćwierćwiekowa praca publiczna, przy której stałem zawsze z zakasanymi rękawami. Jaki był rezultat tej pracy nie do mnie należy osądzić. Ale sumienie mi mówi, że nie brałem nigdy do ręki młotka, który burzy, ale kielnię, która buduje, lub dopomaga do budowy przez innych wykonywanych. W chwili, gdy przestałem być marszałkiem, powróciłem do pracy lokalnej, powiatowej i gminnej, której wy panowie jesteście przedstawicielami, a która choć może niewidoczna, daje nietylko zadowolenie wewnętrzne ale stanowi podstawy rozwoju i przyszłości kraju. W Sejmie pragnę brać najżywszy udział we wszystkich pracach i doświadczenie moje zużytkować, by prace Sejmowi ułatwić, znaczenie i wpływ Wydziału krajowego wzmacniać, a podnosić, utrwalać i wzmacniać stanowisko i znaczenie marszałka krajowego wogóle, a tego marszałka przedewszystkiem.

Mylne przypuszczenia mogły chyba powstać stąd, że w kilku sprawach pierwszorzędnego znaczenia, zdanie moje nie jest niestety zgodne z bardzo wielką większością stronnictwa konserwatywnego. Tego nigdy pod korzec nie chowałem, a moim przekonaniom dałem niejednokrotnie w odpowiedniej formie wyraz z krzesła marszałkowskiego. Tym przekonaniom pozostanę wiernym i nadal i będę się starał przy nadarzającej się sposobności bronić ich w Sejmie, starać się dla nich pozyskać zwolenników i umożliwić im kiedyś w przyszłości zwycięstwo. Ale ile razy chodzić będzie o obronę podstawowych zasad konserwatywnych, o obronę dotychczasowej polityki kraju, której zawdzięczamy, iż możemy pracować nad naszem odrodzeniem, znajdę się w obozie konserwatywnym nietylko na papierze, a choć w szeregu, to z pewnością nie w ariergardzie. Zdaje mi się zawsze, że jeżeli chcemy utrzymać kierujący wpływ w kraju, to musimy obok wierności naszym zasadom trzymać rękę na pulsie szerokich warstw społecznych, ich życzenia i potrzeby sumiennie i ściśle badać, starać się je dostroić do interesów całego kraju, a wtedy i pod tym warunkiem przyłożyć rękę do ich urzeczywistnienia.

Zdaje mi się także, że jest przedewszystkiem naszym obowiązkiem stać zawsze na straży interesów całości kraju, ile razy tego zajdzie potrzeba, musimy być gotowymi poświęcić dla całości nasze interesa stanowe. Wtedy będziemy przykładem dla drugich i zachowamy nasz wpływ i znaczenie w kraju. Teraz kończę, ale jeszcze jedną wyrażę prośbę. Pozwólcie mi panowie mieć nadzieję, że chwila obecna nie jest waszej dla mnie łaskawości epilogiem, lecz, że mi zachowacie waszą przyjaźń i łaskawość i w życiu prywatnem i publicznem.

Wiadomości urzędowe. Minister skarbu zamianował starszego komisarza skarbowego Józefa Nentwiga radzcą skarbowym.

Komisarzem skarbowym w II departamencie ministeryum skarbu dla należytości bezpośrednich mianowany został koncepista skarbowy p. Stanisław Fałat.

Prokurator skarbu zamianował dra Stefana Zaremba Skrzyńskiego i Oktawiana Hlavatego koncypientami galic. Prokuratoryi skarbu.

Konkurs ogłasza magistrat miasta Sniatyna na jedno stypendyum miejskie w kwocie 280 K. rocznie, przeznaczone dla uczącej się chrześcijańskiej młodzieży, pochodzącej ze Sniatyna. Podania do końca lipca br.

Bezprawne zagrabienie kaplicy zamkowej w Malborgu. Nadzorczy komitet kościelny w Malborgu zaskarżył rząd pruski o oddanie w posiadanie bezprawnie zagrabionej kaplicy zamkowej, a skargę swą oparł na dokumencie, wydanym przez rząd pruski po pierwszym rozbiorze Polski.

Tow. śpiewackie „Echo" koncertować będzie w miejscach kąpielowych w terminach następujących: 11 lipca w Krynicy, 12 w Nowym Sączu, 13 w Rabce, 14 w Zakopanem i 16 w Rymanowie. Prócz bogatego repertuaru chóralnego i udziału znanego astysty skrzypka p. Stanisława Pichora z Krakowa zapowiada program niezwykłą nowość w postaci kwartetu mandolinistów amatorów. Koncertami kierowac będzie dyrektor Jan Gall.

Przeniesienie zwłok biskupich. Z Przemyśla piszą: Rz. kat. kapituła postanowiła uroczyście przenieść zwłoki byłych biskupów przemyskich Michała Korczyńskiego, tłómacza słynnego dzieła Bossueta „Exposition de la foi catholique", zmarłego 1839 roku i Franciszka Ksawerego Zacharyasiewicza, zmarłego 1845 r., spoczywające na starem cmentarzu, do kościoła katedralnego, gdzie zostaną złożone w kruchcie podziemnej.

Zgromadzenie przekupniów i handlarzy owoców odbyło się wczoraj w sali „Gwiazdy". Celem zebrania było naradzenie się nad konkurencyą bojków, protegowanych rzekomo przez miejskie biuro targowe, a specyalnie przez radzcę p. Hommego. Zdaniem mówców jest konkurencya z bojkami bardzo trudną, tembardziej, że się cieszą specyalną opieką i sympatyą biura targowego. Za jedyny sposób zabezpieczenia się przed tą konkurencyą uznano założenie zawodowego stowarzyszenia. Pp. Bardasz, Blumenfeld i Janowicz bronili magistrat i Radę miejską i obiecali, że sprawą tą się zajmą i postarają się o usunięcie nadużyć jeśli dostarczone im będą konkretne dowody, że rzeczywiście są jakieś nadużycia W końcu uchwalili zebrani następującą rezolucyę: „Wzywa się Radę miejską, aby na najbliższem plenarnem posiedzeniu rozpatrzyła sprawę owocarzy lwowskich." Sądzimy jednak, że Rada miejska weźmie w obronę naszych bojków, lubianych powszechnie przez publiczność.

O śp. Karolu Andrzejowskim, zmarłym przed kilku dniami we Lwowie, otrzymaliśmy następujące wspomnienie pośmiertne: Zanim zielona murawa pokryje świeżą mogiłę, kryjąca zwłoki przezacnego człowieka i prawego obywatela, godzi się rzucić na nią kilka kwiatów należnej mu wdzięczności i uznania za jego życie piękne i pożyteczne, owiane prawdziwie chrześcijańskim duchem miłości Boga i bliźniego. Czem był śp. Andrzejowski dla biednych i opuszczonych, o tem powiedziećby mogły setki wdów i sierót, którym on podał pomocną rękę. Od lat trzydziestu był on jednym z najgorliwszych członków tutejszych towarzystw dobroczynnych i nie było dla niego takiego trudu, takiej ofiary, którejby nie poniósł dla biednych.

Sam dawał, ile tylko mógł i drugich zachęcał do dawania, zachodził do przybytków nędzy i cierpienia, pocieszał, podnosił na duchu stroskanych, był prawdziwym ojcem dla biednych i opuszczonych. Znano też powszechnie we Lwowie tego czerstwego, rumianego, chociaż już białowłosego staruszka, wszyscy go kochali i otaczali najwyższym szacunkiem. Za młodu służył śp. Andrzejowski w wojsku; brał udział w trzynastu bitwach, przebył kampanię węgierską 1848 r. i bitwę pod Königgrätzem. I w wojsku powszechnie był kochany i szanowany zarówno przez podwładnych jak i przez przełożonych. Jako rotmistrz otrzymał szablę honorową, co wtedy było odznaką wyjątkową i tylko najzasłużeńszym dostawało się w udziale. Na emeryturę przeszedł w r. 1870 w randze podpułkownika i od tego czasu poświęcił się całkiem pracy na polu filantropijnem, był także jednym z najgorliwszych członków Towarzystwa muzycznego. — Tłumy biedaków, którym śp. Andrzejowski za życia świadczył dobrodziejstwa, odprowadziły zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku i zanosiły szczere modły do Pana Zastępów, by szczęśliwością wieczną w niebie nagrodził mu to wszystko, co on dla nich zrobił tu na ziemi dobrego. *R. i. p.*

Eustachy ks. Sanguszko przybył onegdaj do Gumnisk, gdzie sprowadzony z Wrocławia prof. Mikulicz dokona na nim operacyi.

Zamknięcie roku szkolnego w szkołach średnich i ludowych wschodniej Galicyi nastąpi w tym roku dnia 12, zamiast 15 lipca.

Do Krynicy przybyło w czasie od 25 do 30 czerwca br. rodzin 212, osób 362.

„Spółka handlowo-ogrodnicza". Wczoraj odbyło się zgromadzenie osób interesowanych w celu założenia „Spółki handlowo-ogrodniczej". Wybrano komisyę, złożoną z pp. Bielskiego, prof. Ciesielskiego i dr. Michalewskiego, która ma się zająć złożeniem statutu, a następnie zwołaniem walnego zgromadzenia. Zgłoszenia na członków Spółki należy wysyłać pod adresem p. Wincentego Bielskiego, Lwów, Tańskiej 5.

† **Leopold hr. Starzeński** umarł w majątku swoim Podkamień koło Rohatyna, przeżywszy lat 65. Zmarły pracował z powodzeniem na niwie literatury dramatycznej, a niektóre utwory jego, jak np. „Gwiazda Syberyi", przez długie lata nie schodziły z repertuaru scen polskich w Galicyi i teatrów amatorskich, i entuzyazmowały młodzież. Oprócz „Gwiazdy Syberyi" napisał śp. Starzeński jeszcze cały szereg innych utworów, jak „U wyłomu", „Syn Bohdana", „Czaple pióro", „Banita", „Sen Trefnisia", „Żart królewicza", „Stracona wideta" i inne. Wszystkie prace zmarłego odznaczają się poczciwą tendencyą i gorącym patryotyzmem. Cześć jego pamięci!

Z kolei. Z dniem 1 lipca 1902 wprowadzono na szlaku Czerniowce-Itzkany i Hatna-Valeputna nowy rozkład jazdy. Bliższe szczegóły co do zmian, oraz co do wozów wprost przechodzących podają odnośne ogłoszenia, zestawić dodatkowi do ściennego i kieszonkowego rozkładu jazdy.

Strejk robotników rolnych pod Tarnopolem. W sprawie tej, o której pisaliśmy parę dni temu otrzymujemy następujące „sprostowanie":

„W dzień przed rozruchami w Dołżance, o których doniesiono w nr. 152 *Przeglądu*, ja jako przełożony obszarów dworskich, będąc na polu, podczas gdy robotnicy strejkujący spędzali obcych robotników od roboty, przedstawiłem im w łagodny sposób, że tego nie powinni czynić i przyrzekłem im solennie, że wyjednam im u dziedziców podwyższenie płacy, oni też spokojnie wrócili tego dnia do pracy. Lecz w nocy wtargnęli do wsi agitatorowie z Tarnopola i tak podburzyli robotników, że ci drugiego dnia stanęli już w groźnej postawie i nie pomogły już żadne perswazye bez asystencyi wojska.

Nie można z pewnością powiedzieć, żeby się w Dołżance z ludźmi źle obchodzono, albo żeby im się działa krzywda. Od wiosny prowadzi skarb we własnej administracyi roboty budowy i restauracye budynków, przyczem zatrudniał kilkudziesięciu robotników dziennie, razem z różnymi rzemieślnikami. Płacono dziennego robotnika 70—80 halerzy, mularza 2 K 20 h. i 2 K. 40 h., cieśli 2 K. i 2 60.; jest to płaca dość wysoka, która się równa płacy robotnika w mieście stołecznem. A mimo tego ci wszyscy robotnicy odeszli od pracy podczas rozruchów i dali się porwać w wir rozjątrzonych żywiołów.

Właściciele tego majątku br. Jerzostwo Dunin Borkowscy są to bardzo zacni i prawi ludzie i nigdy nie dopuściliby do tego, żeby się włościanom lub komukolwiek działa jaka krzywda. W tym roku podarowali oni gminie Dołżance karczmę razem z placem i materyałem pod budowę kościelnej kaplicy, a drugiej gminie Domamorczy wspaniały plac pod budowę cerkwi. Rok rocznie dostają od nich biedni ludzie kilkadziesiąt fur opału, a w razie nieszczęścia, tj. pożaru, są ratowani materyałem budowlanym z lasu dworskiego i potrzebną gotówką do odbudowania się.

Wobec przytoczonych faktów nie jest więc ludowi tutejszemu tak źle, jak twierdzą fałszywi jego opiekunowie.

W gruncie rzeczy jak wszędzie, stereotypowe twierdzenia podżegaczy, że dworskie łany i grunta muszą należeć do chłopów. To ich chwilowo zachwyca i skoro wpadną na chwilę do lasu, radują się okrzykiem: „to wszystko nasze". Jeżeli rząd nie zabierze się energicznie do tych agitatorów i nie położy wreszcie końca ich podżeganiu i bałamuceniu ludności rolnej niesumiennymi obiecankami, to w kraju spokoju nie będzie i takie zaburzenia się będą ciągle powtarzały.

Z poważaniem *Stanisław Wilczek*
prefekt obszarów dworskich i zawiadowca dóbr
Dołżanka p. Tarnopol

W sprawie budowy kaplicy w Pustomytach otrzymujemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

„Dola pięciuset dusz polskich, zamieszkałych stale w Pustomytach, jak niemniej religijne potrzeby gromadzących się czasowo w okolicznych fabrykach i domach podmiejskich kąpielowych, których ciągle zwiększać się będzie z powodu wielkiego ulepszenia zakładu leczniczego, zniewoliły mię do zajęcia się budową skromnego Domu Bożego dla użytku katolików - Polaków. Pustomyty należą do parafii kośc. w Hodowicy i są 8 kilometrów od niej odległe; odległość tę zwiększa jeszcze zły stan drogi, tak, że w czasie słotnym wycieczka z kościołem parafialnym jest bardzo utrudniona. Następstwem tych stosunków jest, że Polacy w Pustomytach zaniedbują praktyk religijnych i zwolna stają się dostępnymi dla agitacyi obcej, szkodliwej dla ich kościelnych, tracą poczucie odrębności narodowej i zaprzestają się.

Pierwsze kroki do dokonania zbożnego dzieła poparli zacni dobrodzieje i uboga ludność parafii, ale o poparcie i wystarczenie budowy kościółka polskiego marzyć niepodobna. Kto tedy może dorzucić grosz wdowi, choćby na kupno jednej cegły — niech raczy łaskawie przesłać swój datek do urzędu parafialnego obrz. łać. w Hodowicy, poczta Nawarya, a Matka Najświętsza, słynąca cudami w tutejszym kościele, uczynek miłosierny hojnie wynagrodzi." *Ks. W. Ożga.*

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo: Wskutek pomieszczonej korespondencyi w nr. 153 *Przeglądu* z dnia 5 lipca b. r. pod tytułem: „Nowy objaw naszego niedołęstwa" pospieszam z wyjaśnieniem, że za pośrednictwem jednego z rodaków naszych, osiadłych nad Donem, p. Dr. Zagrodzkiego, nawiązałem w r. 1900 z Nowoczerkaskiem (Rosya) stosunki z tamtejszymi aptekarzami w celu zaopatrywania ich w wodę ze zdrojów „Józefiny", „Magdaleny" i „Stefana", które jak to załączone listy zamawiające świadczą, po dzień dzisiejszy ku obopólnemu zadowoleniu są utrzymywane.

Zdrój „Wandy" jest położony na „Miedziusiu", dzierżawionym przez p. Dr. Kołączkowskiego, i w eksport wód oddanych podpisanemu do eksploatacyi wcale nie wchodzi. Czytelnicy zaś *Przeglądu*, nieobeznani z miejscowemi stosunkami, mylnie mogliby przypisywać tak grube lekceważenie dobrej sławy zakładu szczawnickiego, podpisanemu dzierżawcy, — więc w imię sprawiedliwości upraszam Szanowną Redakcyę o łaskawe pomieszczenie niniejszego sprostowania.

Z wysokiem poważaniem: *F. Wiśniewski.*

Do powyższego sprostowania dołączone są rzeczywiście listy dwóch aptekarzy z Nowoczerkaska, którzy wyrównując rachunki za otrzymaną już wodę szczawnicką, zamawiają równocześnie po kilkaset butelek ze źródeł Stefana, Magdaleny i Józefiny i wyrażają zadowolenie z dobrego załatwiania tych przesyłek. *(Red. Przegl.)*.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części wieży kościoła na Jasnej Górze złożyła p. Anna F. ze Lwowa (z prośbą o Mszę świętą na uproszenie pewnych łask i opieki N. M. P.) 2 K.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 10, w poł. + 14 R. Bar. 768. Podnosi się. Pochmurno.

Nowe przekleństwo.

Kłócili się Piotr z Janem
Od rana do zmierzchu,
To Piotra, to znów Jana
Bywało na wierzchu.
Wreszcie Piotr, gdy już wielkie
Rozdrażnienie zdradzał,
Krzyknął: „Bodajś się Janie,
Codzień przeprowadzał!"

Dziedziczność.

Żona. Ciekawam bardzo, co powiedziała na to Ewa, gdy tak nagle wypędzono ją z raju?

Mąż. Łatwo zgadnąć. Powiedziała to, co wy wszystkie odtąd za nią przed każdą podróżą powtarzacie: — „Nie mam literalnie co na siebie włożyć!"

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w poniedziałek po raz 2gi „Nieznajomą" komedya w 3 aktach z francuskiego Pawła Gavault i Henryka Berra. — We wtorek (przedostatnie przedstawienie operetki przed wyjazdem do Krakowa) po raz 7my „Weronika" operetka w 3 aktach A. Messagera. — We czwartek (ostatnie przedstawienie operetki) „Piękna z Nowego Jorku" operetka w 3 akt. (5 odsł.) H. Mortona, muzyka G. Kerkera.

Literatura i sztuka.

Z teatru. Wystawiona w sobotę po raz pierwszy 3aktowa sztuka z francuskiego Pawła Gavault i Gustawa Berr'a, „Nieznajoma", niesłusznie tytułuje się komedyą, gdyż jest tylko farsą a żywioł komiczności i zabawności przeważa w niej nad żywiołem satyrycznym. Idzie o to, że młody adwokat Filip Ardelot (p. Stanisławski) przez swoje litościwe serce naraża się na mnóstwo kłopotów i podejrzeń, bo ludzie nie wierzą w jego dobre intencye, i dopiero gdy zbacza z drogi cnoty, poprawia sobie opinię. Rzecz rozpoczyna się tem, że żona Filipa, Janina (pani Ogińska) żąda rozwodu, bo podejrzywa męża o wiarołomstwo. Pozory istotnie przemawiają przeciw Filipowi, który będąc miłosiernym bez granic, pocieszał i dawał wsparcie jakiejś biednej robotnicy. Wszyscy wyzyskują Filipa a szczególnie niejaki Foulquet (p. Kuncewicz), podupadły majątkowo lowelas, który narzuca się Filipowi na przyjaciela i zakwaterowuje się do jego domu. Foulquetowi zależy na tem, by Janina nie pogodziła się z mężem, postanawia więc ułatwić jej kroki rozwodowe, dopomagając do schwytania męża na gorącym uczynku wiarołomstwa. Przypadek mu sprzyja. Oto z rozkazu Filipa ludzie wnoszą do jego domu jakąś nieznajomą kobietę (pani Bednarzewska), która przeraziwszy się na ulicy murzyna zemdlała i padła w objęcia przechodzącego obok Filipa. Teraz rozpoczyna się szereg scen bardzo komicznych. Przyjaciele cucą zemdlałą kobietę, która jednakowoż przyszedłszy do przytomności nie może sobie przypomnieć swego imienia ani nazwiska, ani miasta z którego pochodzi, ani nazwiska męża, ani nawet kochanka, którego przyjechała odwiedzić. Biedaczka cierpi na napady tzw. amnezyi i każde silniejsze wzruszenie przyprawia ją o utratę pamięci imion. Rad nierad musi jej Filip dać u siebie przytułek. Z tego korzysta Foulquet, telefonuje do Janiny, która przybywa z komisarzem policyi i zastaje u męża nieznajomą kobietę.

W II akcie nieznajoma ujrzawszy swego kochanka na ulicy, odzyskuje pamięć, ale tymczasem nad głową Filipa zbierają się nowe chmury. Wlatuje do niego mąż nieznajomej, kupiec z Poligny, Bidoulet (p. Węgrzyn) i posądzając go o uwodzicielstwo, wymierza mu policzek, poczem wybiega, zostawiając Filipowi swą żonę. Kochanek pani Bidoulet, Bernard (p. Hierowski) widząc, że Bidoulet porzucił żonę, nie chce jej przyjąć do siebie, a gdy Filip nazywa go podłym, wymierza mu również policzek! Tak Filip przez swoją litość naraża się na dwa pojedynki, a nadto ma cudzą żonę na karku, która zaczyna w jego domu rządzić się jak szara gęś. Na dobitkę pani Bidoulet sprowadza do domu Filipa swoją ciotkę, a Foulquet pewnego torreadora, Hiszpana (p. Roman). Jeszcze jeden dobry koncept jest w tej farsie: mianowicie Foulquet pragnąc wywikłać Filipa z obu pojedynków, aranżuje rzecz tak, że naprzeciwko siebie na placu boju stają mąż i kochanek. Ale zamiast bić się z sobą panowie ci, obrażeni figlem Filipa, wpadają do niego i żądają ponownej satysfakcyi. Teraz wreszcie Filip traci cierpliwość, oddaje obu napastnikom policzki i zaczyna z poduszczenia Foulqueta romansować z panią Bidoulet. Wnet rzeczy przybierają nadspodziewanie dobry obrót: Bidoulet godzi się z żoną, kochanek wstępuje w dawne prawa, a Janina, wyleczona z urojonej zazdrości w chwili, gdy ma już powody do zazdrości prawdziwej, godzi się z mężem.

Wogóle „Nieznajoma" jest sztuką zabawną niezbyt pieprzną, ale więcej dowcipną niż wesołą. Pomysły przychodzące w niej po większej części nie są oparte na nowych motywach: zupełnie oryginalnemi są tylko sceny, wynikające z amnezyi u nieznajomej, są one napisane w stylu najlepszych fars francuskich.

Sposób, w jaki odegrano „Nieznajomą" na naszej scenie, nie zasługuje na pochwały bez zastrzeżeń. Tempo było za powolne, a niektórzy artyści nie trafili w ton właściwy farsie. Np. p. Stanisławski grał dobrze, ale bez humoru, zaś p. Kuncewicz miał humor, ale zbyt natrętny, tak, że zepsuł całą graną przez siebie figurę. Najlepszymi jeszcze byli: pani Bednarzewska, pp. Kwiatkiewicz i Roman.

Teatr był pełny.

* **„Architekta,"** miesięcznika poświęconego architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu, wyszedł nr. 6 za czerwiec 1902. W dziale literackim tego numeru mamy przedewszystkiem aktualny artykuł p. Ekielskiego: „Spór o Zakopańszczyznę i styl polski," w którym autor dość surową odprawę daje p. Jasieńskiemu. Znajdujemy dalej protokół z posiedzenia sądu konkursowego w sprawie projektów na wielki ołtarz dla kościoła parafialnego w Zakopanem, odbytego 20 maja b. r. w Krakowie. Jak wiadomo na konkursie tym pierwszą nagrodę otrzymał p. Mączyński z Paryża, drugą p. Łużecki ze Lwowa. Otóż w dziale ilustracyjnym mamy obydwa te projekty na ołtarz, następnie kartony przedstawiające dwa piękne domy czynszowe w Warszawie, wreszcie witraże Stanisława Wyspiańskiego dla kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 6 lipca.

(Z.) Wczorajsza subskrypcya na $4^1/_2$-procentową pożyczkę bośniacką w sumie 78 milionów koron wypadła świetnie. Nie ulega wątpliwości, że pokryto ją kilka razy, w samej Pradze bowiem subskrybowano 16 milionów, a w Wiedniu, Peszcie i Berlinie już kilka dni naprzód dobijano się wprost w bankach o zapewnienie sobie rychłego zgłoszenia we właściwym dniu subskrypcyi. Ponieważ banki finansujące tę pożyczkę zobowiązały się nie przedsiębrać żadnej redukcyi przy takich zgłoszeniach subskrypcyjnych, gdy zamawiający nowe obligi bośniackie zobowiąże się przez cały rok pozostawić je w banku w depozycie, a nie sprzedawać ich, przeto najwięcej jest tego rodzaju zgłoszeń, a skutkiem tego ci subskrybenci, którzy nie zrzekli się w ten sposób prawa dysponowania kupionymi obligami przez cały rok, zapewne nic nie otrzymają.

W sprawie konkursu austryacko-belgijskiego Towarzystwa naftowego, posiadającego tereny naftowe w Galicyi, odbyło się wczoraj w tutejszym sądzie handlowym pierwsze zgromadzenie wierzycieli. Z Austryi zgłoszono pretensyi do upadłego towarzystwa za $1^1/_4$ miliona franków. Belgijscy wierzyciele mają do żądania prawie 10 milionów. Między innymi zgłosili się posiadacze obligacyi tego Towarzystwa na sumę przeszło 3 milionów franków. Austryaccy wierzyciele założyli jednak protest przeciw temu, ażeby posiadacze obligacyi mieli jakikolwiek wpływ na wybór zarządu masy konkursowej, gdyż obligacye tego austryacko-belgijskiego Towarzystwa wypuszczone zostały bez zezwolenia rządu austryackiego, a więc wedle naszego prawa są nieważne.

Z Belgradu donoszą, że banki francuskie, które prowadzą z rządem serbskim rokowania o pożyczkę w sumie 60 milionów franków, ofiarują Serbii za 5-procentowe obligi kurs 80 za 100. W ten sposób francuski świat finansowy taksuje kredyt Serbii nieco niżej niż Bułgaryi, gdyż Bułgarya uzyskała za swoje również 5-procentowe obligi kurs $8[illegible]^1/_2$ za 100.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 674·50, węg. Zakł. kredyt. 699·00, Anglobanku 279·50, Unionbanku 539·00, Länderbanku 418·50, Bankvereinu 452·50, Bodencredit 906·00, Gal. Banku hip. 000·00, Statsbahny 701·50, Lombardy 64·50, Kol. Elbethal 446.00, Północnej 00000, Czerniowieckiej 567·00, Alpiny 401·00, Rima Muranyi 490·00, Praskiego Tow. żel. 1555, Fabryki broni 330·00, Tureckie tytoniow. 293·00, Oblig. węg. indemniz. 97·80, Renta majowa 101·75, Austr. renta koronowa 99·65, Węgier. renta koronowa 97·80, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·75, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·95, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·50, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·05, Losy tureckie 107·25, Marki 117·30, Ruble 252.75.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Otrzymane wczoraj).

Opawa 6 lipca. Sejm szląski polecił Wydziałowi krajowemu, aby udał się do obu Izb Rady państwa, oraz do ministerstwa wojny i obrony krajowej z prośbą, aby zaprowadzono dwuletnią służbę wojskową dla absolwentów niższych szkół fachowych i rolniczych i aby podczas żniw nie powoływano do ćwiczeń wojskowych rolników.

Berno 6 lipca. W sejmie morawskim p. Szewczik postawił wniosek o zniesienie podatków bezpośrednich, mianowicie podatku gruntowego, a zaprowadzenie natomiast jednolitego, powszechnego i postępowego podatku dochodowego i wysokoprocentowego podatku giełdowego.

Zadar 6 lipca. W sejmie dalmatyńskim p. Prodan postawił wniosek o zaprowadzenie języka starosłowiańskiego jako przedmiotu obowiązkowego we wszystkich krajowych seminaryach nauczycielskich i szkołach ludowych.

(Depesze poranne).

Berlin 7 lipca. *Nordd. Allg. Ztg.* pisze: Pewien dziennik węgierski doniósł, że malarz polski Kossak wyrażał się, że musi z powodu sprawy polskiej wyjechać z Berlina; miał o tem także mówić z cesarzem Wilhelmem, który mu powiedział: „Kochany przyjacielu! Rozumiem zupełnie pańskie położenie, ubolewam szczerze z powodu pańskiego odjazdu. Bądź pan przekonany, że każdego czasu chętnie pana znowu przyjmę." Jesteśmy — pisze *Nordd. Allg. Ztg.* — upoważnieni do oświadczenia, że w tem doniesieniu o rzekomej rozmowie cesarza z Kossakiem nie ma ani słowa prawdy.

Rzym 7 lipca. Z okazyi jubileuszu Papieża odbył się wczoraj w południe w Watykanie obiad dla 1.500 ubogich w obecności dostojników kościelnych. Popołudniu odbył się w podwórzu belwederskiem Watykanu hołd wszystkich katolickich stowarzyszeń Rzymu. Ojciec św. pojawił się na trybunie, powitany entuzyastycznie przez tłumy, i pozostał tam przez 20 minut, oraz udzielił zebranym błogosławieństwa. Gdy tłum rozchodził się, kilka osób wskutek tłoku zemdlało.

Londyn 7 lipca. Wczoraj rozdano w parlamencie „księgę białą", zawierającą depeszę Chamberlaina do gubernatora kolonii Przylądka, w której Chamberlain odmawia prośbie gubernatora o czasowe zawieszenie konstytucyi w tej kolonii. Chamberlain powiada, że zawieszenie konstytucyi bez zapytania obecnej reprezentacyi ludności o jej zdanie, nie przyczyniłoby się do złagodzenia nienawiści rasowej, lecz wywołałoby nieporozumienia i wzburzenie.

Konstantynopol 7 lipca. Ormiańsko-gregoryański patryarcha Ormanian ponowił z jak największym naciskiem kroki w Yildiz pałacu w sprawie zniesienia ustaw wyjątkowych przeciw Ormianom. Patryarcha zagroził dymisyą.

Londyn 7 lipca. W ostatnich biuletynach stwierdzają lekarze królewscy trwałe i zadowalające pod każdym względem postępy w zdrowiu króla. W biuletynie sobotnim powiedziano: Z radością możemy oznajmić, że według naszego zdania, niebezpieczeństwo już zupełnie minęło. Wieczorne biuletyny nie będą już wydawane. Podpisani: Treves, Lacking.

Waszyngton 7 lipca. Rząd chiński zwrócił się do Stanów Zjednoczonych z prośbą o dobre usługi i pośredniczenie w tej mierze, aby mocarstwa, które mają jeszcze załogi w Tientsinie, nakłonić do wycofania tych wojsk. Departament wojskowy poda tę prośbę do wiadomości rządów interesowanych.

Madryt 7 lipca. Miejscowość Higuera de la Serena, w prowincyi Badajoz, nawiedziła wczoraj straszliwa burza. Dwóch włościan zginęło od pioruna. Zasiewy zniszczone. Szkoda wynosi milion pesetów.

(Depesze popołudniowe).

Kraków 7 lipca. Bawi tu Jan Zacharyasiewicz. Sędziwy powieściopisarz przyszedł obecnie zupełnie do zdrowia.

Kardynał Puzyna udzielał wczoraj klerykom święceń kapłańskich, wyświęcił mianowicie 5 kleryków z seminaryum dyecezyalnego, 8 ze zgromadzenia T. J., 7 ze zgromadzenia Missyonarzy, wreszcie jednego kleryka ze zgromadzenia Karmelitów.

Magistrat zawiesił w urzędowaniu Mieczysława Borysiewicza, praktykanta konceptowego z powodu popełnionej przez niego defraudacyi 3.200 K.

Aresztowano tu 15-letnią izraelitkę ze Sosnowca, córkę bardzo zamożnych rodziców, która popełniała kradzieże w tutejszych sklepach. W składzie płócien korczyńskich ukradła 500 koron. Lekarze orzekli, że dziewczyna cierpi na kleptomanię. Bawi tu także ojciec jej celem zasięgnięcia porady u psychiatrów.

Londyn 7 lipca. Do Biura Reutera donoszą z Melbourne: Rząd związkowy państw australskich postanowił nie przystępować do uchwał brukselskiej konferencyi cukrowej. Rząd zawiadomił Chamberlaina o tej decyzyi.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 7 lipca. Hr. A. Skrzyński z Zagórzan. Hr. S. Piniński z Wiednia. Hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. Hr. J. Krasicki z Bachórza. Hr. A. Starzyński z Dąbrówki. Hr. S. Schönborn z Tłumacza. Hr. J. Weissenwolff z Ruskiej wsi. O. Wiktorowa z Czudca. S. Tustanowski z Żurowa. K. Marmoroszowa z Krakowa. M. Zakrzewska z Wiktorowa. D. Pogłodowski z Tułkowic.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 7 lipca. M. Ruszyńska z Krakowa. P. Łastawiecki z Hadlego. W. Notarski i M. Rotenberg z Żywca. S. Leniewski z Borysławia. K. Biesiadzki z Sanoka. M. Asłan z Koziny. N. Ostermann ze Stanisławowa. E. Klein, R. Baller i G. Dobald z Wiednia. N. Tarasiewicz ze Schodnicy. J. Kochanowski z Wojnicza. J. hr. Potocki z Rymanowa. K. Krokowska z Jagielnicy. H. Spitzer z Bielska. H. Pollak z Pragi. S. Dydyński z Ulucza. Z. Styberowie ze Stryja.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 7 lipca. Br. L. Brückmann z Monasterza. W. Polański z Rudnik. M. Chojecki z Kolbuszowy. St. Chomicki z Tarnopola. M. Biemer ze Stanisławowa. J. Schneider z Rzeszowa. J. Denker ze Strzelca. A. Bednarowski z Czeharówki. M. Cieński z Łośniowa. S. Potworowski z Koropca. M. Schwarz z Czerniowiec. L. Radecki z Lipy. S. Żelechowska z Korczowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Odezwa do mieszkańców Lwowa.

Świadomi znaczenia **Księgi adresowej** m. Lwowa dla stosunków handlowych, przemysłowych i społecznych, podjęliśmy się przed sześcioma laty wydawnictwa, które wszędzie za granicą nieodzownym jest podręcznikiem dla wszystkich.

Starania nasze uwieńczone pomyślnym rezultatem pozostawiają jedynie do życzenia, ażeby ogół publiczności w swoim własnym, dobrze zrozumianym interesie zechciał utrzymywać nieustanny kontakt z wydawnictwem **Księgi adresowej**, uwiadamiając nas o każdej zmianie adresu.

Odzywamy się tedy do wszystkich P. T. mieszkańców naszego miasta wogóle, a w szczególności do pp. przemysłowców, kupców, rękodzielników, fabrykantów i wszelkiego rodzaju przedsiębiorców z usilną prośbą o przesyłanie adresów, względnie ich zmiany, celem **bezpłatnego** zamieszczenia w roczniku VII **Księgi adresowej** na rok **1903**. Z tą prośbą zwracamy się do pp. przemysłowców i fabrykantów w kraju.

Fr. Reichman, wydawca.
Redakcya Księgi adresowej, Lwów, ul. Grottgera 8.

Podziękowanie.

Najserdeczniejsze zasełam podziękowanie szanownej Dyrekcyi i wszystkim członkom Towarzystwa muzycznego, którzy wzięli udział w oddaniu ostatniej usługi ś. p. mężowi mojemu.

Amelia Andrzejowska.

Wiedeń 7 lipca. (Giełda towarowa). Cukier (spokojnie) 16.50. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 38·20.

Berlin 7 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·30. Spirytus 35·80.

Paryż 7 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·65. Mąka („Fleur de Paris") 30·75.

Wiedeń 7 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·55—7·56, na wiosnę 0·00—0·00; żyto na na jesień 6·53—6·54, na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, lipiec-sierpień 5·23—5·24, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·38—5·39, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·95—5·96, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na pień-wrzesień 11·50—11·60. Tendencya: w kukurudzy pewna, reszta oziębłe. Pogoda: piękna.

Budapeszt 7 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 7·26—7·27; żyto na październik 6·19—6·21; owies na październik 5·63—5·64; kukurudza na lipiec 4·93—4·94, na sierpień 5·03—5·04, na maj 5·10—5·11. Rzepak na sierpień 11·00—11·10. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: oziębła. Pogoda: piękna.

Wiedeń 7 lipca. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	265.50
„ „ „ „ „ „ 1889 3%	263.—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	281.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	254·50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	84.25
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	107.10

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.15, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 433.—, Clary 40 zł. m. k. 188.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.—, Ofen 40 zł. 190.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 56.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 28·50. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 75.—, Salma 40 zł. m. k. 234.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 77.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 423.00.

Lwów 7 lipca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 564.00 do 572.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 555·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 850.— do 880.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00. 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do —·—, 4 proc. los w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.40 do 102.10 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·30 do 97·00, 4 proc. los w 41 i pół latach [illegible]7.— do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·50 do 97.2[illegible].

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·20 do 99·90. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·30 do 108·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 96·80 do 97·50. Pożyczki kraj. z r. 1878 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97·00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·0[illegible] do 94·70, $4^1/_2$% po 200 koron 100·00 do 100·70.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·10 do 19·30. Rubel rosyjski papierowy 252.50 do 254.50. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·30.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.28.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

49)

MATECZKA

POWIEŚĆ

Pawła D'Algremonta.

(Ciąg dalszy).

— Obłąkana, córka Mérindola, której umysł był zawsze tak jasny, tak trzeźwy!... — mówił do siebie margrabia. — Czy to nie jest nowa nikczemność Filipa, który, nie mogąc złamać jej energii, uciekł się do tego środka, ażeby się pozbyć Henryki? Prawdopodobnie jest zamkniętą w jakim domu zdrowia i dlatego mieszkańcy Verrières, nie widząc jej, przekonani są, że nie żyje.

Jak ona cierpieć musi, będąc zamkniętą, a jednak zdrową, przytomną i władającą całą swą inteligencyą!

I nikt nie pośpieszył jej na ratunek, nikt nie usiłował, nawet nie próbował jej ocalić!

Ach! biedna Henryka!

Pod wrażeniem tych myśli rozpacz ogarniała margrabiego i zimny pot występował mu na czoło.

Zapomniał o własnem nieszczęściu i myślał tylko o cierpieniach swej ukochanej.

Ale przed kim zwierzyć się, kogo zobowiązać do poszukiwań?

Nikt oprócz niego nie był do tego zdolnym.

A on, uwięziony zarówno jak i ona, musiał nadto myśleć o swych dzieciach opuszczonych i może straconych!

Przez dwa dni zdawało mu się, że dostanie pomieszania zmysłów.

Dopiero trzeciego dnia zdołał zapanować nad sobą.

— Nie — mówił sobie — powinienem robić wszystko, ażeby nie potępiono mnie. Powinienem po odzyskaniu wolności odszukać moją ukochaną i ukarać Filipa za jego zbrodnie.

I dla osiągnięcia tego celu bronił się energicznie, rozpaczliwie, w czem z wielkim talentem dopomagał mu Rollet.

Na nieszczęście, nie miał żadnych dowodów na poparcie swego twierdzenia.

— Gomer rzucił się na mnie i chciał mnie zadusić — oskarżał książę.

— Nieprawda -- odpowiadał Jan.

Wtedy Rollet usiłował przekonać, że sprawcą zamachu był spotkany przez Gomera stróż polowy.

Ale stróża nikt nie mógł wskazać, nie wiedziano nawet jego nazwiska.

Książę Grand-Croix utrzymywał stanowczo, że go nie widział.

Jednakże, dzięki wymowie adwokata i sympatyi, jaką Jan wzbudzał ku sobie, sędziowie przysięgli skazali Gomera tylko na pięć lat więzienia.

Gdy odczytano mu wyrok, prawie bez życia padł na ławkę i tylko szepnął:

— Ach! biedne dzieci moje!

— Będę czuwał nad niemi — oświadczył mu Rollet po powrocie do celi. — Powiedz pan, co mogę dla nich uczynić?

— Nic!...

— Znam się z komisarzem policyi dzielnicy, w której one mieszkają; on może zrobić wiele i niczego mi nie odmówi w zakresie swych obowiązków.

— Więc zrób pan, ażeby książę Grand-Croix nie zabrał ich.

— Przyrzekam i dopóki nie będzie dowiedzionem, że są one dziećmi Henryki Mérindol, to jest wnukami jego żony, nie zdoła ich zabrać. Nadto, jeżeli chcesz, to ażeby nikt nie mógł trafić na ślad ich kryjówki, sam będę odnosił na pocztę twe listy do nich i przynosił przeznaczone dla ciebie.

— Dziękuję panu serdecznie...

Dwie łzy wdzięczności spłynęły po policzkach Jana.

— Pięć lat! — powtarzał — zdala od nich!... jak to długo!...

— To prawda, ale córka pańska jest energiczną i dzielną dziewczyną. Dowodzą tego jej listy. Nic jej się nie stanie. Zresztą listownie będzie pana zawiadamiała o każdym wypadku w swem życiu. A że i ja będę odwiedzał pana często, więc będziemy mogli radzić i w razie potrzeby przedsiębrać odpowiednie kroki. Zresztą posiadam przyjaciół, stosunki i mam nadzieję z pomocą ich uzyskać uwolnienie pańskie przed upływem pięciu lat.

Jan ze wzruszeniem uścisnął dłonie adwokata.

— Bóg ulitował się nademną, zsyłając pana do mej celi.

Jak wiemy, Gomer całego majątku posiadał zaledwie pięćset franków.

Podał je adwokatowi, ażeby wynagrodzić go za obronę, a ten, wziąwszy bilet, rzekł z uśmiechem:

— Uregulujemy nasz rachunek później, gdy odzyskasz majątek Mérindola. Teraz zaś popełniłbym niegodziwość, zabierając chleb pańskich dzieci!... Biorę ten bilet, lecz dlatego, ażeby go przesłać pańskiej córce.

— Zanieś go pan sam.

— Dobrze! przy tej sposobności powiem jej, że przelałeś pan na mnie swe prawa nad nią i jej bratem i że będę korzystał z nich dla uchronienia ich od cierpień i niedostatku.

Po odejściu adwokata wzruszony Gomer szepnął:

— Wielu jest na ziemi książąt Grand-Croix, ale na szczęście, są jeszcze tacy jak adwokat Rollet i doktór Ferdy!

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Rollet spełniając daną swemu nieszczęśliwemu klientowi obietnicę, udał się na ulicę Delcambre, ażeby zobaczyć dzieci jego, pocieszyć je i wręczyć pięćset franków, stanowiące cały majątek margrabiego de Verrières.

Ale zmuszony był zgłaszać się kilka razy, zanim je zastał w domu.

— Chłopczyk jest w szkole — odrzekła odźwierna, z uczciwej bowiem twarzy gościa widziała, że może powiedzieć mu prawdę.

— A panna Paulina? — zapytał Rollet.

— Ona biedaczka teraz przy pracy i można ją zastać w domu tylko w niedzielę popołudniu i to wtedy tylko, gdy niema roboty pilnej.

— Niech pani jej powie, że przychodził przyjaciel jej ojca i że przyjdę w niedzielę o drugiej popołudniu.

Paulinka wiedziała już z dzienników o wyroku potępiającym jej ojca.

Boleść swą zamknęła w sobie i nikomu nie powiedziała ani słowa, ani Pawełkowi, który gwałtownie odczuwał każde cierpienie, ale też i prędko zapominał, ani Weronice, która mogłaby się wygadać przed osobami innemi i zwrócić uwagę na nią.

Pomimo prawie macierzyńskiego przywiązania, okazywanego jej przez przekupkę, Paulinka nigdy nie zwierzyła się jej z niczem.

Tylko przełożona klasztoru „Sióstr Nieszczęśliwych“ posiadała jej zupełne zaufanie.

Ale ta wyjechała przed kilkoma miesiącami i niewiadomo było, gdzie przebywała.

Paulinka zgłaszała się do klasztoru kilkakrotnie, lecz za każdym razem otrzymywała od siostry Magdaleny odpowiedź:

— Przełożona wyjeżdżając uprzedziła nas, że nieprędko powróci. Kazała mi dowiadywać się o tobie, moje dziecko i pomagać gdybyś czego potrzebowała.

Ta troskliwość przełożonej do głębi duszy wzruszyła dziewczynę.

Już brat Salwator powiedział jej, że przełożona prosiła go przed wyjazdem, ażeby Pawełek, niedość z powodu wieku swego przygotowany do szkoły, miał zawsze korepetytorów i wszelkie ułatwienia w nauce.

Rozumie się, że koszta tej pomocy przełożona ponosiła sama.

— Kiedy powróci? — zapytała nieszczęśliwa dziewczyna, dowiedziawszy się o ogłoszeniu wyroku.

— Nie wiemy — odrzekła siostra Marya-Magdalena — lecz ksiądz biskup, który koresponduje z czcigodną matką, mówił, że będziemy miały szczęście zobaczyć ją już niedługo.

— Jakież to nieszczęście, że jej niema! — szepnęła Paulinka.

— Co ci się stało, moje dziecko? Powiedz mi; ja cię kocham i pragnę widzieć cię szczęśliwą.

Zakonnica miała serce dobre, była wykształconą i bardzo lubiła Paulinkę, o której wiele słyszała od odźwiernej i matki Weroniki.

Ale nie była to siostra Henryka.

Dumne serce Paulinki nie mogło otworzyć się przed nią, jak przed tą matką o wielkich oczach błękitnych, tak łagodnych i tak smutnych.

— Dziękuję siostrze — odrzekła — zaczekam do powrotu pani przełożonej.

— Jak chcesz, moje dziecko. Ale wierz mi że szczerze kocham cię. Gdy przełożona powróci, powiem jej, że pragnęłaś widzieć się z nią.

— Koniecznie!

— Nie trać odwagi, moje dziecko; będę prosiła Boga o opiekę nad tobą.

Paulinka z czcią ucałowała jej rękę i rzekła:

— Siostra jest równie dobrą jak ona...

— Ale zawsze nie to, co ona, prawda? — odrzekła zakonnica z życzliwym uśmiechem. — Niech Bóg ma cię w swej opiece, moje dziecko.

(Ciąg dalszy nastąpi)

†

Walery Siterski
technik

przeżywszy lat 42, po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, zmarł dnia 5 lipca 1902 r.

Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek dnia 7 lipca o godzinie 5-tej po południu z domu żałoby ul. Hoffmana Opata l. 20 na cmentarz Łyczakowski, na który stroskana matka i siostry z rodziną, krewnych, kolegów i znajomych zapraszają.

Lwów dnia 5 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.

†

STEFCIA

najukochańsza córeczka
Michaliny i Marjana Bendlów
zmarła w 1 wiośnie życia dnia 7 lipca 1902.

Pogrzeb odbędzie się we środę dnia 9 lipca 1902 o godz. 5 po południu z domu żałoby ul. Ormiańska l. 22 na cmentarz Łyczakowski, na który stroskani rodzice krewnych i znajomych zapraszają.

Lwów dnia 7 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski Lwów, ul. Sobieskiego l. 10.

†

NEONYLIA Z JASIENICKICH KRAUSS
wdowa po inspektorze leśnym

zmarła po długiej a ciężkiej słabości opatrzona św. Sakramentami dnia 7 lipca 1902 w 56 roku życia.

Pogrzeb odbędzie się dnia 9 lipca 1902 o godzinie 8 po południu z domu żałoby ul. Unii Lubelskiej l. 11 A, na cmentarz Łyczakowski, na który to smutny obrzęd zapraszają dzieci krewnych i znajomych.

Lwów dnia 7 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, Sobieskiego l. 10.

†

Jan Bogdanowicz
em. mechanik warsztatów kolejowych i członek Stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda“

zmarł dnia 6 lipca 1902 r., po krótkich a ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, w 82 roku życia.

W nieutulonym żalu pogrążona żona z dziećmi i rodziną, zapraszają przyjaciół i znajomych na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie dnia 8 lipca b. r. o godzinie 5-tej po południu z domu żałoby ul, Zielona l. 5 na cmentarz Łyczakowski.

Lwów, dnia 7 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, Sobieskiego l. 10.

†

Tekla Markiewicz

po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzona św. Sakramentami, zmarła dnia 6 lipca 1902 r. przeżywszy lat 47.

W smutku pogrążony mąż wraz z dziećmi zapraszają na obrzęd pogrzebowy krewnych, znajomych i przyjaciół, który się odbędzie 8 lipca z domu przy ulicy Gródeckiej l. 52 o godzinie 3-ciej po południu na cmentarz Janowski

Lwów dnia 7 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski, Lwów, Sobieskiego l. 10.

†

Filipa z Decykiewiczów Kurowiec
wdowa po gr. kat. proboszczu

opatrzona św. Sakramentami, zmarła w Bogu dnia 6 lipca 1902 w 63 roku życia.

Pogrzeb odbędzie się dnia 8 lipca b. r. o godzinie 4 po południu z domu żałoby ul. Sapiehy l. 5, na cmentarz Łyczakowski, na który ciężko dotknięte dzieci i wnuki, krewnych i znajomych zapraszają.

Lwów dnia 7 lipca 1902.

„CONCORDIA“ A. Kurkowski Lwów, Sobieskiego l. 10.

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza